

11748

Bibl. Jag.

IV



Teka poświęcona  
Felicjuszowi Faleńskiemu

1. autobiografia (31 stron - uzupełnienie ± 50.)
2. "Ze zbioru dzieł i pamiątek" (63 wiersze)

Nb: Te relacje (kopie autografu?) przysłał w r 1914 do  
 agencji w "Lancie" córka pary Marcini. 2 po:  
 z wodu wojny nie wyjechał już do rodu Lancy, który  
 miał zamieszkać te rzeczy. Pary M. po wojnie już pisał  
 do mnie o wstępie relacji, ale list ten do mnie b.  
 późno i z powodu nieporozumień różnic, mimo późniejszego  
 uzgodnienia nie korespondencji zaczęły się. Nie udało  
 mi się odebrać pary M. - (Dziękuję relacji te są kopiami,  
 pary M. musi posiadać oryginały). Tymczasem stało  
 się że w archiwum, w wieś marusza odebrała rel., w  
 którym miał dla archiwum przepisać autobiografię - gdyż  
 nie było już prawdopodobne by ją gdzie wydrukowano  
 w obecnym czasie i to in extenso, posiadać mógł  
 archiwum. - T.B. 1932





minu

).

lo

Nie=

ay=

la

ay=

gip=

aba=

pe=

pe

va

oz

kie.

co=

'

m.

=

w

=

L

le=

.

il=

ie

!

=

.

=

7=

z=

=

oo=

=

z

ue=

=

a=

z=

i

z=

ly=

=

to

-

z=

=

-



gure  
Bl  
cre  
2  
o  
u  
u  
ro  
bo  
b  
L



umie kierunek.

tych marneniach konczyłem właśnie kutat-  
cie gimnazjalną, moją wiedzę, kiedy w tem, na osobis-  
le moje nieszczęście (bo już i z niemalą akademią dla  
kraju korzystać), zaprowadzono dwuletni kurs prawa. To  
mię nierównie, wbrew mojej chęci, wtrąciło w świat,  
do którego nigdy najmniejszego nie miałem pociągu. Długo  
kiedy się nad tem zastanawiam, sam czuję się winnym  
straconych próżno trzech lat sposobności wzbogacenia  
sobie umysłu. Było to w r. 1841, miałem wtedy ledwie  
lat siedmnaście, więc jeszcze w najlepsze uczyć się po-  
trebowałem. Nauka prawa w każdym razie przysła-  
mi się mogła, i nawet nie powiem, iebym i tak z  
niej coś nie skorzystał, - ale właśnie te moje lat siedmna-  
ście i ta literatura w głowie, potrzebowały coś trochę przy-  
jemniejszego kierunku; a ten tymczasem, wcale przeciw-  
nie, despotyczny był i bardzo nie miły. Więc reszta na to:  
ie niby na coś zrobiłem... ale sam sobie. Pamiętam,  
za życia ojca, ile razy mowa była o wybraniu dla mnie  
zawodu, ja się zawsze przy literaturze mojej bywałem try-  
matem. - Ale zważ szopere - mówił mi ojciec - litera-  
tura chleba nie daje - nawet ucieszyć. "W najlepszym  
razie możesz być nauczycielem drugich - a to znów  
chleb twardej. - Miałem zawsze wielkie upodobanie do  
nauki języków. Chcąc to w jakiś korzystniejszy nieco spo-  
sób zurijkować, miał zamiar ojciec do Paryża mię na  
Uniwersytet wysłać, na wydział Wschodnich języków.  
Tam, do kariery dyplomatycznej miałem się sposobieć,  
lub choiby na orientalistę, jak Maksimierski, Chodkowski  
i t. p. Myśl ta stała się już była życia mego marzeniem  
- jak tu z niej tedy teraz, do tej przemożnej narażonej  
mi rzeczywistości było ustąpić? Więc ten doprawdy na o-  
wych prawnych kursach wcale przyzwoitym uczniem  
nie byłem. - Wtem kurs przerwany przebyłem jako tako;  
wierzyłem bowiem, ie, jak mi to zaręczano, na nim  
się cała moja nauka skończy, - ale potem, kiedy mi os-  
wiadczone: ie mam stanowczo prawnikiem zostać,  
zawiedziony opuściłem się zmieszany, i to do tego stopnia,  
ie już z drugiego kursu egzamina nie zdałem. Zmu-  
szono mię zostać na rok następny - ten zaś fatalnie się  
dla mnie zakończył, jak o tem poniżej powiem. - Obci-  
nie, chciałbym jeszcze coś kilku słów streszczyć o so-  
bliwskie dzieje owej epoki, wpośród której, obok różnor-  
nych przekształceń domowych, rozwijało się tymczasem  
życie moje młodzieńcze.

Polaka nawa, a właściwie Warszawa, przedsta-  
wiała wtedy na małą skalę niby Ryzyk pogarszający  
się, nigdy niegdyś szalenie ponad cieką katastrofę  
płotą. Kataklizmami temi była tu mała konsumpcja  
nieprzeżyjąca nigdy Cytadela - Polak jak zawsze z Ka-

1) Beustronność zmusza mię wspomnieć w tem miejscu: że były jednak przedmioty, do których mogło powieść zamięślanie nawet miałem. Do takich liczę Prawo Prymskie, oraz dawne narzekanie Polskie. Inne za to, suchym wykładem swym odstręcały mię i dźwięnie mi się przykrożyły. \*)

Przypomina mi się w tym względzie stary, może nawet palestrancki, ale  
pewniej chyba Rybaltowski, następujący morał:

Nie wiele wskórasz ex codice -

Zeżeli w Kabrie masz modice.

Nie wiele dadzą ci leges -

*Tereli pecuniam egēs.*

Ni tei ubogacisz się juve -

Jeśli w kieszeni masz drugą.

*Phytolacca americana*  
*Falestipes atropurpurea*  
*and pop. color (very*  
*various)*  
*Barb. flavum*



lakumbami, nie nie mieli wspólnego ci, co życia u-  
 żywali <sup>1)</sup>. A używali go aż do zurycia. Ale tak se-  
 bie właśnie ~~Reda opiekuńczy~~ uprzejmie ~~użył~~ <sup>użył</sup> ~~użył~~  
 Sposobności potem ~~podkreślanie~~ <sup>nie brakło</sup> ~~owsem~~,  
 na każdym kroku ją nastroczano. Byстрым nadzwyczaj,  
 wszelkich możebnych wieck ~~a w tej kwestii~~ i prze-  
 sem Dyrekcji Teatrów był naówczas wielce poufny  
 Paszkiewiczowi Oberpolicmajster, Abramowicz; - sta-  
 cern, samo już potężnienie dwóch tych władz w jed-  
 nem ręku, dostatecznie o ich wzajemnej pomocy objaśnia.  
 Więc tedy, dramata jakiegos podniosłego ani było ma-  
 rzyć, Szekspira Boże uchoć <sup>za to</sup> Komedyje, ile ma-  
 nosci jak najweselsze, najbrudniejsze i najgłupsze <sup>2)</sup>.  
 Opera włoska - a mieliśmy jednak swą własną wybor-  
 ną (Dobroski, Trsoxel, Rywacka, Rivoli, - później Miller,  
 Heller Lesniowska) - a zwłaszcza balet. Nawet nader  
 traskliwie w liczną rzeszę, ładnych tancerzek zapro-  
 widowywany <sup>3)</sup>. Uład już proste jest przejście do owego nie-  
 ustającego Karnawału, na którym one, czy inn podobne,  
 równie dniem jak nocą z powstania swego przodowa-  
 ły. Trudno dziś zrobić sobie pojęcie, ile to w tej Warsza-  
 wie ówczesnej, o potęgę niż dziś mniejszej, znajd-  
 wało się wtedy: Sal. Ogrodów, przejazdów <sup>za miasto</sup>,  
 i najprzeróżniej uciążliwych wycieczek. Do najstojniejszych  
 (we względzie stanu fasonu) należały: Sala w Pałacu Sasa,  
 w pałacu Skorsowskich (dziś hr. Krawczyński), Ogrodek Olimpia  
 (tuż za rogatkami Wolskimi, jakiś inny jencze na kori-  
 cu Leona, Kacisz, Ogrodek Wielory, Czerwony - był na-  
 wet Czarny (wszystko to w Alei Wandowskiej), i diabli  
 już wreszcie wiedzą, ile tam jencze najrozmaitszych  
 Ustroni, Pawilonów rozkoszy, i Miłych Schronień.  
 Tam wszędzie Kanhan panował nieporównany  
 - tam kwiat melodyczny, rozpasanej, oślawnej, zgra-  
 nej <sup>4)</sup>, pijanej, wykutęj z wszelkiego wstydu, szargat

1) Trochę pod wpływem bardzo wziętego naówczas Sługo, napisatem był na razie  
 dwutomową powieść, pod tytułem, "Pan z Faczałki". Tam, starałem się, niejaka dwa te  
 swiaty z sobą zrestauir. Ale później, już to dla narabyt jaskrawego kolorytu, już z przyczyn,  
 które poniżej wytłuszcze (w r. 1844) zmuszony byłem ją spalić.

2) Sądzę, że potężność miałyby wszelkie prawo doświadczyć w tym względzie,  
 Korpowskiego, sądzić. Historie, wielki ten geniusz sceniczny, smiało to powieścić można,  
 że narabyt łatwą popularnością gorąc, przy wrodzonym sobie lenistwie, na czas długi  
 sztukę naszą poniżył. Na obronę jego wyrzucił się gość: że za mało z natury inteligentny,  
 a jencze mniej wykształcony, nigdy się ani opatrzył, że był tylko nader pożytecznym w  
 ręku władzy narzędziem. Bo przecież wiadomo akadynad: że jednocześnie, wyrastającego  
 niespodzianie Dawisona, bardzo gburowało z Warszawą się porabyło. A kiedy wreszcie  
 nawitał na scenę Skorsowski, to niemal tyleż ze strony Dyrekcji jako Autor dozna-  
 wał trudności, ile i Komorowski jako Autor, prawdziwie poważnego scenicznego nastąpi.

3) Przy ogólnem wtedy wycierpieniu umysłowem, niernadko, bywało, gorąc-  
 kowano się szornieko w obronie wdzięków czy tanca tej lub owej baletniczki. Byli  
 zapaleni zwolennicy parny Wend lub Trauray (ta ostatnia nawet, na stoś przeciwni-  
 kom, wysła za hr. Henryka Haryzwickiego). Kiedy przyjechała do Warszawy słynna  
 Lola Montez, niebył przez Abramowicza protegowana (bo on wierzył tylko w Gwardę),  
 gruby Lesnowski, Redaktor Gazety Warszawskiej, tak zamięszany ku jej obronie ani razu  
 w sobie rozwinął, że aż do kony za to na dni kilka ponieść, a jencze w dodatku dłu-  
 go potem o Teatrze ani ile ani dobrze pisać nie było wolno.

4) Wszystkie to praktykowały się niemal publicznie. Tak u niejakiego  
 Listowskiego, dymissyowanego Majora (wojsk Rosyjskich - zwanego go <sup>połkownikiem</sup>),  
 niby trochę Kompozytora i amatora teatru, dniem i nocą, czy był w domu czy  
 nie był, nigdy nie przysadyła zielone stoliki - nie brakło też pań uprzejmych,  
 których on zawsze pełno przy sobie trzymał.



rentki, zdrowia, i szarguwszy już sumienie, a jeszcze wpró-  
dy zaprzedałszy się lichwiarom, lub co gorsza jeszcze,  
tajemnemu Prądownemu wsparciu. Warszawa sama  
nie byłaby, podstawa owej Saturnalii, więc też pruw-  
nia dostarczała obfity następ tych miłośników trzęsa-  
wiska społecznego, w którym tonęło się po uszy, a je-  
cze ciągle pod nogami gruntu się obniżało. Tam zna-  
łem takiego (niejaki Juliusz Bronowski i Skalskiego),  
który spieniężony ojcowiznę, w ciągu tylko jednej zi-  
my wszystko co do grona zmarnował. Przewodniczył zwy-  
kle na podobnych balikach (supiebalami je zwano) nabo-  
ny mąż Stanisław Ignacy Turkull, Minister ~~eksterioru~~ do-  
wodu Królestwa Polskiego, we własnej swej osobie. Tego,  
istotnie wewnątrz było pełno - cudownym jakimś sposo-  
bem pomniżał się, jak niegdyś słynny Pinetti, mowi-  
na powiedzieć: że jednocześnie wewnątrz się znajd-  
wał - bo i pod Trzema Murzynami i na Srebrnej Salii,  
pilnując backnie, żeby nawet lud prosty rozpuścił  
swoją zaradę. Im kto bezcelniej na głowie sobie stawiał,  
tem był mu pożądanym, bo nawet od serca miłym -  
takiego karmili, poit, wynadgradał, za przykład  
drugim stawiał. Jego wiceprezesem bywał zwykle Kuc,  
gorliwie przy nim nasłuchujący wisiacy. Króćciej miernie  
poniewierali się obok tego zapomnianego dziś mędrca:  
Kenię, Lesnowski, Lewestam, Niemojewski, Patie, Wol-  
ski i Chojacki<sup>2)</sup>. Z Bogini owego Pandemonium, odna-  
wały się szczególnie baletniczki: Obuchowska, Bobrowska,  
Jagielska, najdrapieżniejsze w świecie harpie, które do  
konsuli młodszych obdierały, a potem nieśmiadko ze szko-  
dów wrzucały, jak się to właśnie z Niemojewskim  
stało, który nawet z przeprawą podobnej ze złamaną  
nogą wyszedł. Nie trzeba jednak myśleć, żeby owych  
balików (przyjaźielskich, czy towarzyskich - bo i tak  
i tak się one nazywały) same tylko jawnożrewnice  
bywały ozdobą. O! nie. Najwykwintniejsze panie, zda-  
wały się, prosto z balów u Pankiewicza (na Zamku  
Królewskim!) przyjeżdżały, same, dla niepoznaki w  
domina przebrane. Jednej z nich nawet (Michali-  
nie Brynerewskiej) razu jednego spróbowano wesoło  
maskę rednei z twarzy. Powstała z tego kwada, aż  
i bijatyka, którą dopiero policya powagą swoją zago-  
dziła była zmuszona. Już to panie cięższe, przyznać  
to trzeba, równie kłótliwie się nie bali, jak i z tych je-  
zyków. Konno latały lub z konia powsiąg, diabłami  
sadrzity, papierosami się raziły, i zadnych na-  
rodowych nie miały przesądów. Nazywano je Lwiami<sup>3)</sup>, te

<sup>1)</sup> Swoją drogą, byle jarmark, jak w Łowiczu, Łęcznej, Jedrzejowie, to znów Warszawa  
tłumnie zjeżdżała utarzać się w prowincjonalnem błocie - a tak, nie było to nigdy bez wzajem-  
nej wymiany.

<sup>2)</sup> Już prawie po zupełnem ustaniu tego nalu w Warszawie, długo jeszcze, a słynnego Sal-  
wiana Jakubowski (w jego własnym domu na ulicy Nicałej), podobna ciągnęła się uciecha.  
Przynajmniej, że już nie była publiczna. Za to trudno sobie zrobić pojęcie rozpuści, która tam  
panowała. Pomysłów do tych orgii dostarczał Lewestam, i sam też na nich pracowicie zwykle porządkował.

<sup>3)</sup> Wymyślił je w swej komedji Stanisław Bogusławski, za mało jednak miał najcięższe  
pomiedzy niemi okazy, które wyłączenie tylko w imitancie towarzysztwa studycować było moż-  
na. Taka np. Czosnowska - istny pierwowzór Balakowskiej Turpilli. Tu także miejsce wspom-  
nieć: że, niby na przekór owemu upadkowi w górę, z natury społecznej wyrastały tymcza-  
sem kobiety z nieposulakowaniem przypuszczeń, wykształcone, dźwięnie powabne, choć na-  
wet nie zaawansowane. Miała osobliwy talent wychowywać takie niejaka Manassowa, public-  
na ciocia, i te zwykle bardzo drogo sprzedawała. Ostatnie, wszystkie one porobiły świetne par-  
tye, i będąc niegdyś poprostu żoniami i Furiami, dziś nazywają się sobie: hrabina Kolowrat,  
Wicehrabina de Calonne (iona właściciela Revue Contemporaine - a jak powiadają główna te-  
go pisma współpracowniczka i Redaktorka) wrenie Pani Feydora (iona sławnego Ro-  
mansopisownia).



zas, ma się rozumieć. Lwów wszędzie miały. Pomiędzy ta-  
kimi, w wyjątkowej sferze, stanożyło się odznaczali Edmund  
Chojcki, salonowy dowcipnik, kieszonkowy poeta, znako-  
mity pod każdym względem kuglarz, jeden z najwices-  
niejszych na naszej ziemi błagierów. Nigdy nas nieco, ber-  
ło trzymał Aleksander Rożniecki (syn znanego generała),  
oraz niejaki Łagiewnicki, dwóch najzabawniejszych  
w świecie współczesników, goniących o lepsze: który  
z nich jutrzejszą modą prędzej się ubierze. Jeden był  
zwolennikiem Majewskiego, a drugi Nowakowskiego  
(dwóch niepozostę chwalił krawców), a oba mieli liczne  
zgraje naśladowców. Rożniecki, powiadało, twarz  
sobie cięciwą na nos okładał, w rekawiech sypiał,  
biedną tylko w Paryżu praną nosił, i, a ten i Karnten  
mieli zawsze od rana tak uprzążowane głowy, że dopraw-  
dy trudno już dziś orzec: który z nich wyglądał na-  
drzej? Ale oto dość już mówię o tej całej mądrości, o  
której dziś jeszcze wspominać, chociaż głupieje.

Jak powiedziałem, w czasach owych, na praw-  
nika kierować mi się kazało, a ja postępując temu  
byłem, ale na podstępstwo wilka, którego by w ptak  
wprzekiono. Już to i życie, przeznaczone trzeba, na tych  
naszych kursach nie bardzo było powabne. Z jednej strony,  
jakbyś sama już na nie uczęszczała młodzież skończo-  
na (bo tylko patent wejście tam dawał), niemniej obcho-  
dono się z nami całkiem po szkolnemu; tak dalece  
chodzono o to Prądowi: aby nam w głowach nawet nie  
zasiwilało, żeśmy jakąś Akademią. Węc, też same co  
i w szkołach mundur, i tenże rygor w ich noszeniu,  
goleniu wszelkiego zarostu, stryżeniu głowy, kłania-  
niu się wojskowemu, a nawet wydawaniu lekcji, na  
które też, pod kontrolą codziennego czytania listy,  
pilnie uczęszczać należało. Wrazie nas uchybiecia  
któremu z tych przepisów, z największą przyjemnos-  
cią nas wydalano, znajdując (zwłaszcza w porzątkach):  
że tych prawników będzie trochę nadużo. Na rozpuszc-  
tych uprzejmie patrzano przez szpary 1). Z drugiej  
wnów strony, nawigowany już na kursach Dodatkowych  
separatym, tu jeszcze mocniej się uwydzieli. Nie inspi-  
to się tu już ani ty, ani nawet kolego, ale tylko pan 2); a  
byli tacy, co, zanim przy tobie usiedli, dochodzili napród:  
czyim jesteś synem 3). Z tego powodu, zylismy porzątkowo

To co tu mówię, nie ma w ni-  
czem ustąpić stosunkowi  
naszemu z profesorami. Ci,  
przeciwnie, z niewielkim wy-  
jątkiem, byli to ludzie szani,  
sycyli, po większej części wy-  
socy urzędnicy sądowi, chę-  
tnie

1) Nowym czasie zabrano też Gimnazyum Państw. Tego uczniowie osobliwie odznaczali  
się rozpasaniami. Na paradysie wiecznie budoły robili; po najpligawszych miejscach schad-  
ki sobie urządzali; nocą, bandami po mieście się wtopczyli, wtargnęli w drogi, przechodniom;  
zwłaszcza z kobietami idącym. Ostentacyjnie, jeden z ich przewodców (niejaki Jan Drewnowski),  
odznaczony następnie w powstaniu 63r. tem mianowicie: że cały oddział którym dowodził  
w ręce Moskali wydał, pod Karaczchem przy Bilardzie pobit się z Czerkiesami; co gdy po mie-  
ście gruchnęło, policja rada nie rada, musiała w tem urwać niejaki cechy przestępców po-  
litycznego, i jego sprawców nieco poskromić - wszakże o Cytadela się to nie oparto.

2) To mi przypomina mniemaniem nieopatrzone słowa radości, wygłoszone w tym przed-  
miocie przez Aleksandra Tysyńskiego. Cudacznym ten pisarz, którego nieustające nigdy powo-  
dzenie oraz powaga wiekista dla mnie były i są zagadką, tak oto z partesa powiada (w Bi-  
bliotece Warsz. z Maja r. 1874 na str. 257): „Kraj nasz... którego losem (!) była we wszystkim oryginal-  
ność, - oryginalność w formacie, oryginalność w życiu, oryginalność w śmierci, oryginal-  
ność po śmierci (!), i w tym grammatycznym exglic lingwistycznym niezgodzie o którym  
mówimy, odrębność wyraził; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach Naszmieć i Kacpan,  
lecz w miejscu oni lub wy, ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych (!) Krótkie,  
znaczące pan, i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju, i przez wszyst-  
kie klasy, w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych. - Genialne to  
spostrzeżenie, nadzwyczajnie w pismach wszystkich podnoszone. [9] Wrotek pisał

3) Spawany na to symptomata mąd opowiada, ustawnie Wrotek naprowadził. Instytut Szko-  
lecki, którego uczniowie, od reszty studentów mundurami się już nawet różnili. Tu już, od naj-  
mniejszych smarkaczy, pańską butę wpaiano. Tak np. nie godziło się tym panicom w teatrze w  
krzesłach nawet siedzieć, ale najmowali łóż, Również nie jeździli nigdy dorożkami, tylko najiz karety.



cy i umiejący utrzymać nas  
na wysokości udzielanej nam  
nauki. Ale wspomniatem  
też o wyjątkach. Do tych za-  
liczam niejakiego Miszkiewa,  
lichego Litwina, udającego  
że nie umie po polsku (wy-  
kładał Słowo Zakonów),  
jakbądź później, w czasie pow-  
stania 63 r., słyszałem go  
mówiącego tak przechrystą  
polonizowaną, że nawet ak-  
centa litewskiego nie zdra-  
dzał. Ten był, mogę powie-  
dzieć uśmiałym nauszy cię,  
mężem, w nauce, o której sam  
bardzo chadytne miał po-  
jęcie (podobno nawet Uniwer-  
sytetu nie skończył). po za-  
obrobieniu zaś wykładów, i ar-  
liwym nadkrocz, nawiązał po-  
jęć politycznych, a niekiedy  
i denuncyjanterem. Drugim  
takim był Pawliszew (wykla-  
dał Matematykę Rosyjską). Ten  
znów żołnierskiej subordynacji  
nader pilnie przestrzegał. Wzi-  
mieni byli nazywać go j. Miel.  
możnym Prechrystym Radcą  
Stanu. Rad byłby tego i od  
nas wymagał, nie mogąc zaś  
tego dokazać, wysłał przy-  
najmniej, że do niego nie wol-  
no było mówić inaczej, jak  
stojąc, mieliśmy bowiem tę  
jedyną prerogatywę: że na  
zapytania profesorów odpo-  
wiedało się z siedzenia). Po-

podzieleni na kółka, po większej części prawnicy - to jest jednej szkoły koledzy. Ale powstał, swój swego znalazł, i kółka się te zbierały. że zaś było pomiędzy nami dość zbytkujących swiatowców, z porządnie pustemi głowami - wyrodziło to w przeciwnieństwie, rodzaj niby stworzenia, któremu myśl, nie obcym był Majorkiewicz. Ci, przesadzając pogardę zewnętrznąj formy, chodzili w lada jakim ubraniu, czasem z dziurami na łokciach i wyrwanemi pachami, ile możności w wykonlawionych butach, w tui tei mając w schoły byle jak pocięte. Na to grom każdy wspólnie składali, i za to kupowali książki, prenumerowali pisma, i cobydzi przekazywali, natychmiast streszczać to i ocenić byli obowiązani. Głównem ich bowiem zadaniem było wciągnąć siebie i drugich w poważniejszą myśl, w przeciwstawieniu znowu naraby rozgłoszonej wtedy w literaturze belletryzmowi. Jakoż, już i Trentowski, Cieszkowski, Wiszniewski, Kromer, Libelt, zjawiać się wtedy poczuli. Jednocześnie też Hegel wszystkim głowę zawracał. Tego znowu osobliwymi byli zwolennikami: Edward Gembowski <sup>1)</sup>, Bachmann <sup>2)</sup>, Walenty Jakubowski <sup>3)</sup>, nawet w początkach i Ziemięcha. W belletrystyce zaś, która miż nierzadziej bliżej, obchodziła, świeciła takie gwiazdy niemało; coż kiedy i tam swawola w najlepsze pulata. Na uczęście, zatorska świeża Biblioteka Warszawska, stosownym wyborem i zdrową krytyką, wybryki te poskramiać poczęła; inaczej niewiadomo do czego byłoby doszło, tak dalece z dżiwała jakaś maniera, rozkośchrane formy, niespójność stylu, słowem pogarda wszystkiego, co mogło być prawidłem lub nauką, na bezdrożia wiedzy najodolniejszych <sup>4)</sup>. Trzymało się to ściśle z ich zachowaniem się tawaryszkiem - tego zaś strach oraz kierownictwo było wytłaczaną chwałą niedo-  
natowanej pamięci (jak dziś niszczą) Mickiewskiego. Uliczny ten wyjazd całego świata, uprzejmie do gościn-  
nego swego łona garnął wszystkich, kłójących sobie bezpowrotnej zguby, stumnie pierzocherstwo dając ta-  
kim, którzy coikolwiek jeszcze do stracenia mieli (pina-

1.) Następnie główny filar Przeglądu Naukowego, który podobno własnym kosztem  
zabawił i utrzymywał. Zginął on w sposób dziwnie nagadkowy, w czasie po-  
miętnego pochodu na Podgórze Strakowskiem w r. 1846.

2.) Brat synowej Owierżakiewiczowej - tyleż wykwiniony sabrowswiec, ile tam-  
ta była dawnie tuxinkową przekupką. Ciotwiek zadowolony, ale niestetyżany rozpusz-  
nik. Skonczył na tem, że się powiesił w lasku Biełaniskim, niewiadomo do kogo cemu.

3) Takie głowa niepospółita, ale wierutny próżniak i warchot. Uwagę powiększoną zwrócił jego tak zwane Cwiczenia grammatyczne (właściwie filozoficzne) w Dziwnie Wilkowskiego. Wexas jakoś potem odebrał sobie życie w Paryżu. -

14) Powstrzymać nie zawsze zarzucono (i nawet Tuszyńskie bardzo): przesadę w kierunku estetycznym, wyszukanie formy, zbytessa surowość tonu, posuwana aż do zaciemnienia myśli, kwiłtosć stylowa, wysilona wiersza ogląda, i wręcz nie dość usprawiedliwione archaizmy językowe. Ale kto jak ja, że zgrozą patrzeć był zmuszony na to, co sobie porównawali tacy Koryfeje ówczesni, jak: Żmorski, Niewiadomski, Wolski, Filleborn, Dziekoński, nawet Tytusiński (bo i on się wtedy w powieści bawił i poezję), a następnie jeszcze Żeligowski (Stwa), Apollonia Komienowski i Karol Pińkowski, dla których był przesadą rozsadek wszelki, a za to zrukanem i kaletami: dziwactwo stylu, nalsna wiersza dowolność, Czesłowski rymy i pogarda średniowieczni; ten choć w części usprawiedliwionym być powinien, że od owych krytykujących nadwyrzeć nieco za smiało odsłodzić. Niewątpliwie, przy wielkim talencie, byłbym umiał w porę się powstrzymać, ale go nigdy nie miał w tej mierze co tamci, a za to chęci moje o wiele były lepsze. Kresła, niechbym choć razawit po sobie wstę: czego, przy lepszym od mojego smaku, unikać należało; to już i tak, mniemam, zadanie moje tymczasem spełnione. -



między profesorami, był jeszcze jeden Moskal, nawiąskiem Aleksiejew (wykładał historię literatury Ros.), ale ten był z kosi-  
mi poezji. Polagając na tem, żeśmy już w gimnazjach dostatecznie z tego przedmiotu xdsbyć musieli wiedzę, go-  
dzinami catemi czytaliśmy tylko Puszkina, Lukowskiego, Lermontowa, Gogola, a także swoje własne utwory (był bowiem poeta), - na egzanaminach zaś, prawie sam nas wyreczał, pisząc omylnie stopnie dobre, - choć nie zawsze było za-  
co. -

nowicie we względzie pieniędzy). Nazywała się ta Pocz-  
nospolita Muskietera. Istotnie, równość tam panowa-  
ła rozczulająca - w obec flaszki x wódka. Bywało tak:  
ie do serdecznego wyjaszka o każdej godzinie nocnej  
przyjść było można i zamocować na podłogę, chęćby  
nawet w jego nieobecności - bo on przeciwieć najchętniej  
x rankiem dopiero wracał - a zawsze się zastalo bo-  
chenek chleba, serdelki i gorzałkę - do wzytku sklan-  
kami. 1) Wpisowe do tej archikonfraternii nie konsto-  
wato zbyt wiele. (przynajmniej tych co się rozboju nie  
bali). Byłby zapuścić długie kudły, i koniecznie być  
oberwanem i brudasem - już gotowy x ciebie wiekich  
nadziei artysta, czy poeta, czy w ogóle wielki człowiek,  
a respective muskieter. Wreszcie Trafiates tam już  
na swoich mistrzów (nie linąc Wujaszka), jak Wolskiego,  
Ciwierciakiewiczów 2), Zmorskiego et consortes. W tej po-  
zyteanej szkole, poprzepadało xolności co nie miara-  
dostć wyszczególnię niektórych. Taki: Bohdan Driekoni-  
ski, Jeweryn Filleborn, Tadeusz Brodowski, Gierdrie-  
jewski 3), Feodorjusz Krywicki. Pierwsi czterej dostaw-  
nie na śmierć się zapili x ostatni wyniósł x tego ży-  
cia zabawnego xarody piersiswej choroby, która go  
w lat kilka w kwiecie życia xabrata. Był to ukol-  
ny mój kolega. Talent miał do poezji nie maly, ale  
czasu mu do rozwinienia się xabrakło. Później jeszcze  
do niego powrócę. -

Takie to tedy były smutnej owej pory wiechty x roz-  
rywki blogie. Gład wrażeń tej Saturnalii xplót się w nie-  
jednym utworze Zmichowskiej bo ona biedaczka miała  
także brata, który po uszy w tej rozpustie siedział, - ie zaś  
osobliwie był jej ukochany, przyjechała więc aż z Paryża  
żeby go ratować, ale już było za późno. Wraz jakiś po-  
tem życiem to przypłacił.

(Zabry ciąg na str. 25).

1) W lat kilka potem wyjeżdżał x Kraju, sięgany xarutem płatnego przez rząd  
agenta. Powiadają, że mu to nawet życie skróciło. Niech go Bóg sądzi. Narobił niemało  
złego - ale może być tylko, jak wielu drugich, bezwiednym narzędziem; bo już to nie-  
rząd i lekkomyślność tego człowieka były w swoim rodzaju x niezem niezrównane.

2) Tych było coś więcej. Jeden z nich, w czasie wielkiej cholery w r. 1852 xatłzył się  
o Dzienię xlotych: ie się naję ogorków, i nic mu się nie stanie. W grze tej i dzienię xlo-  
tych przegrał i życie. Daje to miarę wartości człowieka. Zolarnienie to dostarczyło mi  
przedmiotu do powiastki, drukowanej w alendarnu Ungry x. r. 1862. U tych Ciwiercia-  
kiewiczów miewały miejsce fantastyczne piątkowe przyjęcia, rozpoczynające się o sa-  
mej północy. Odbywały się tam rzeczy nie do opisania. A jednak uczestniczyli w nich  
i ojciec owej miłej dziatwy, dokazując na równi x synami. Działo się zaś to, przy-  
mai trzeba, wprost godnej podobnych xapratnieni umysłu areny... gdzie w za-  
budowaniach więzienia przy Arsenale, którego stary Ciwierciakiewicz był nadzorca.  
Było tam zawsze na xawstanie dwóch urzędowych łepnisiów. x tych jeden Mina-  
sowicz (nazywany przez tych wankotów Minasem, choć mógł być niemal ich dĩa-  
dem), starszy brat Józefa Dyonizego przekładowy Syllera, sam utalentowany nieg-  
dys portrecista, xdzicinniały jakiś idyota i zagadkowy sknera czy niedźwiedź, który  
tam przychodził opychać się chlebem, nieraz milerkiem partyki sobie jeszcze do  
kieszonki biorąc - ten powalał dwoic x siebie de wlatło, i nigdy się nie grzewał. Dru-  
gim był niejaki Dutkiewicz, syn słynnego prawnika Walentego - w tego xnow wmo-  
wili geniusz do śpiewu i do sztuki aktorskiej, a on zgłupiał na tym punkcie, i jak  
się xdało nigdy już do rozumu nie wrócił. -

3) Genialny kompozytor w rodzaju Kaubacha. Biedaczysko, w Ryminie później, za-  
kochawszy się w jakiejś pannie i chcąc się stać jej godnym, nagle najxupetniej pic-  
wrzestat. Ten godny podziwu wysiłek woli, gwałtownie rozwinął w nim gorzka-  
kę trawiącą. Nic nie pomogły zabiegi lekarzy, radzących stopniowe odżywca-  
nie organizmu - niestety nabrat dziwnego wstrętu do poprzednie-  
go życia, i kto wie, czy nawet nie był rad swej śmierci. -



Jako przyrównanie do dziejów upadku moralności w owej epoce, wspomnieć tu jeszcze muszę o nadmiernej mnogości zdrajców, sięgających wtedy oszustw i kradzieży. I, jak zwykle w takich razach bywa, nie z niedzą je popełniano, - ale dla dogodzenia wyundowanym zbytkom. Ile sobie przypominam, pojechałem w tym względzie wyszedł od Lewestama. Ten, zastawiony wówczas Inspektorem Szkół, nie tylko łapówkami uczeniów i ich Rodziców nader obcesowo obdierać zaczął, ale jeszcze, kiedy raszły wakacje, wszystkie potrzeby kancelaryjne, Bibliotekę, i - nawet sprzęty szkolne (aż do ławek) żydom pospółdawał, za co wydalony ze służby, wyrokem sądu Kryminalnego na Sybir skazany, następnie skutkiem tubercyjnej zarazy, ułaskawiony, czas jakiś aplikował niby w Zarządzie Komunikacji lądowych i wodnych; ale właściwie, poskądne zataczając złecenia, z godzinowych funduszy płatny, bronił dalej bezkarnie, i nie było tak brudnej sprawy, w którejby, ręki po Półce nie umierał. Czworak ten, pod każdym względem szkodliwy, do którego na niezmierzanie nieraz mi jeszcze wrócić wypadnie - przerwainie zaś bezwstydną (nawet w tak zwanych literackich pracach swoich) przemysłowicz i rzemieślnik, w chwili obecnej używa pewnego rodzaju rehabilitacji, dzięki nader groźnemu stanowisku, jakie w krytyce zagarnię potrafił. Dziś mu się kłaniają ludzie najuczciwsi, twierdząc: że należy w nim rozróżniać niegodziwca od człowieka wielkich zdolności. Tęch istotnie odmówić mu nie można - idzie tu jednak o cele, nie o środki. Ale co? - o całym tym kierunku przekonań dzisiejszych, nie to jedno byłoby do rozwiedzenia....

Wracam do przerwanej przedmiotu. Kłodzkiego przemysłu, śladem tego arcyministra, szerzył się sobie dalej coraz groźniej. Włas jakiej, wykryto całą najkę kieszonkowych rzemieślników, oraz podrabiaczy kuponów. Nie mało w niej uczestniczyło studentów (osobliwie z Gimnazjum Realnego) - nawet z Kursów prawnych niejaki Kozłowski. Rostało to jak lawina. Niebawem zjawili się kunsztowniejsi przemysłowcy. Była to już wykwiniona młodość, głównie z przyborowej Kancelarii Pańskiej. Ci znów, przebierając się to za policyjny, to nawet za Generalski, postrachem przesładowani politycznych albo obywatelskich uwolnienia z Cytađeli, długie czas wytydiali, poskądnie od potrwożonych mieszkanców znaczne nawet summy, aż poki to na wieżach nie wyszło następnym sposobem. Jeden z pomiędzy nich (niejaki Kozłowski), działając na własną rękę, przebrały za Komisarza, w towarzystwie niby Kuchmistrzów, wpadł nocą do Kłanoru Bernardynów, zarradkując natychmiastową rewizję. W chwili jednak, kiedy jego towarzysze po celach płądowali, on wziął na bok Gwardyana, i oświadczył mu: że wprawdzie ma rozkaz wziąć go zaraz do Cytađeli, ale że jeśliby dostał od niego 300 Rubli, rzec się może da zgodzić. - Gwardyan, czy nie miał pieniędzy, czy też co pewniejsza nie w ciemie był bity, prosił go o cierpliwość do jutra - tymczasem zaś dał wiedzieć policyi. W ten sposób ptaszków na uczynku przychwytyano, aż i po tej nici renka kłębka się zwałarta. W tym czasie, raszły także słynne w Banku Polskim kradzieże, za które niebawem odpowiedzialni Henryk Lubieński i Józef Lubowidzki. Zdawały się też i bardzo bezcelne oszustwa, jak np. młodego Badeniego nazwanego Świętym Piórem, a to z tej okoliczności: że, napatrywany sobie w Starem Mieście jakąś historyczną dziewczkę, ukazywał się jej przebrały za owego Apostoła, wyłudniając od niej grube datki na stopielne i

1) W owym czasie miało to za rzecz pewną: że z woli Pańskiej utworzona była przez Storożkę (ze współudziałem zapewne Łajchego i Grassa) lista zamożniejszych obywateli, których synowie z tego powodu osobliwie miarili byli na oku. Wrazie najstabszego pozoru, natychmiast brano takich do Cytađeli, skąd wypuszczano tylko za grubą opłatą. Ze coś podobnego w istocie przybawiało, za przykład przytoczyć mogę znaną mi dobrą rodzinę Grodzickich. Z tych wzięto napróżd Hurego, którego ojciec wykupił, dawny 20,000 zł. Ale kiedy w czas jakiś potem, uwięziony drugiego (Kwarysta), domagano się za niego bodaj czy nie dwa razy więcej ceny, straszkany ojciec, mając w domu jeszcze trzeciego syna, wolał już jednego pozawieść, byle uniknąć gwałtownej ruin. Z tych Grodzickich, Hurek i Felicjan poizenili się później z córkami pułkownika Fredry brata mojej matki. Kwaryst zaś wywieziony na Syberję, wrócił dopiero po Kampanii Krymskiej.

2) W owym czasie krążyła po mieście karykatura, przedstawiająca stojącego przed gmachem bankowym zaproszony do drogi wielki wóz towarzyszy. Do niego urzędnicy bankowi wnosili wory z pieniędzmi - a na koźle siedział Kam Fuhrmann (wówczas prezes Banku), ma się rozumieć odwrócony plecami do tej roboty, i gotów ruszyć w drogę jak tylko będzie już pora. -



Kosciół. Ten był synem Ignacego, Dyrektora Komisji Spraw Duch. i Oświecenia, również słynnego w swoim czasie łapownika. Z tego powodu, po wykryciu się sprawek jego syna, ktoś napisał na domu Badenich (na placu Krasińskich, obecnie Epstejna, okazała kamienica z kolumnadą): - O! dla Boga! co się dzieje! Syn i ojciec dwaj złodzieje! - W starym Badeniu, później już znacznie, bo w jakieś lat dziesięć, miał wydarzenie, dowodzące, że jednak, prędzej czy później, trafić musi swój na swego. Na nabożeństwie u Paszkiewicza, siedział on w ławce tuż obok Czapkiej, córki Henryka Rewuskiego, podobnie jak poprzedniej ze wszelkich miar osoby. Modląc się nader żarliwie, gdy był równie pobożnego <sup>1)</sup> jak wiernopoddanego ducha, parę razy uraczył sobie nos ze złotej bardzo ozdobnej tabakierki, którą następnie włożył do bocznej kieszeni. Ale za powrotem do domu, kiedy ktoś po nią sięgnął, na jej miejscu znalazł już tylko rozpiętą bransoletkę z miniaturą pułkownika Protasowa, naówczas bardzo zarytego pani Czapkiej przyjaciela. Wprost się tedy do tej damy udał, wręcz zaproponował jej wymianę owych przedmiotów, co też bez wszelkich korowodów na poszechaniu nastąpiło. Przez to jednak nie długo snadź pozostała tajemnica. Ni stąd ni z owąd bowiem, pomiędzy ogłoszeniami Kroniki Wiadomości Kraj. i Zagr., ktoś złosliwy zamieścił obwieszczenie: - jako zgubioną została bransoletka damska z cyfrą (odpowiednią) i koroną hrabiowską, nieszcząca w sobie miniaturę młodego wojskowego. Łaskawy znalazca raczy ją odnieść do krabiny Czapkiej (tam i tam), albo do pułkownika Protasowa (w hotelu czy nawet w koszarach - już nie pamiętam). Narobiło to strasznego rumoru, skutkiem którego pismo tylko co nie zostało zamknięte. - Tak to, bógie tradycje owych czasów pamiętaj, długo się jeszcze sporadycznie przeciągały. ~~Przeto się to nieraz nawet z krzywdą ludzi ciętkiem niewinnych, jak np. Fryderyka Karbka, o którym krążyła powszechna pewność: jakoby interesantom swoim (był wtedy Dyrektorem Kom. Sprawiedliwości) grubo się opłacać kazał. Tymczasem robił to bez jego wiedzy syn jego Henryk, dając do zrozumienia, że niby gra w tym racie rolę pośrednika. Pomadnie usz też tym sposobem obławiał.)~~

<sup>1)</sup> Pisał też i tłumaczył nader budujące rzeczy, i to wydawany, rozsyłał niby w podarunku przyjaciółom i znajomym, ale następnie nie się nie wstydząc, ścigał za nie grubą należność. Bawił się nawet w poezję.



Mówiłem to już poprzednio: że narzucono mi w owym czasie naukę, coraz opieszalej w głowę bratem. Po roku pierwszemu wcale jeszcze dobre zdałem egzamen, ale z drugiego kursu już nie wybrnąłem, i zmuszony byłem pokutować jeszcze rok następny. Przyczyniło się do tego zaliczenie mnie jako dziwnie zdolnego, którego też z tego powodu ostrzeżono od drugich pilnować należało. Tem zniechęcony, do reszty się opuszcilem. Zbalamucila mnie też ostatecznie literatura, nęcająca idealami, których coraz mocniej w kółło mnie brakło. Później się waleśałem w dzielnicę Starego Miasta i Ponadwisle, wchodząc w stosunki z ludowym i żywym, z czego w następstwie i wyniosłem dość biegłą, znajomość życia tej biedniejszej warstwy społecznej, w której, mimo wszelkich wpływów rozkładowych, najwięcej podobno przechowało się (wtedy) dotąd nierównego zdrowia duszy. Owszem tych cierpliwych studiów, był wspomniany już wyżej „Pan z Faciatki” jednocześnie też, pod obrazem bolesnych owej epoki wypadków, pisać począłem nie mało burliwych poezji. Próbowałem też skleić kilka dramatów. Z tych Pido i Jugurta miały jeszcze nastroj klasycystyczny, sytuacje spokojne, a za to mocno deklamacyjną. — Lech zaś Krak i Wanda było rodem z frylogii lirycznej, przejętej na wskroś rękopisem Królewskim. Ta ostatnia robota (trochę w rodzaju libretta do opery, bo znajdowały się tam i recitatywa i chóry) jedna tylko w całości była skończona — reszta istniała tylko w mniej więcej znaczących ulamkach. Chodził mi też po głowie dramat Gertruda (Komorowska), mniemałem bowiem, że z przedmiotu tego przy zachowaniu wierności historycznej, dałoby się wysnuć coś nierównie potężniejszego od placalowej Maryi (takie przynajmniej miałem wtedy o niej pojęcie). Ale, ma się rozumieć, skończyło się na bezsilnej natchnieniu. Z tego wszystkiego jednak łatwo się przekonać: że Kodeks Napoleona był wtedy rzeczą najmniej podobną zaprzątającą mi głowę. W tym czasie także wrócił był z Syberji Kochany mój Karol Baliński, i to mi oświeciło świat przykrych nie mało. Niebawem, we dwudziestym i Ciepłinskim, zaczęli wydawać Snopce Nadwiślański. Ofiarowałem do niego kilka poezji — lecz te, dla braku wartości, odrzucono; a jednak wybrałem jak mi się zdawało najlepsze — coż tedy sądzić o rencie? Natomiast powierzono mi korektę Snopka, w której nierównie więcej okazałem zdolności.

W tych okolicznościach, zbliżały się egzaminy. Podeszliśmy się w kilku razem do nich gotować, i rzecz ta razą byłaby się może w sposób korzystny dla mnie zakończyła (boć się istotnie bardzo szczerze zabrałem znowu do pracy); gdyby nie to, żeśmy już od niejakiego czasu upłótani byli w pewne Bractwo... Rozpoczęły się arestowania... Pamiętam, po jednej takiej nocy, kiedyśmy się na Kursach zeszli — patrz — Leon Kapliński czerwone i podpuchnięte ma oczy, i nawet gadać z nami nie chce, powiadając mi: — całą noc rze tylko łamał z rozpaczą i zanosił się od płaczu.<sup>1)</sup>

1) W następstwie rozwinął się z niego dzielny ciotek, który nawet w dwa lata potem bił się w poznańskim, i za to odsiadywał więzienie w Berlinie — ale w tym czasie (1844) był to tylko bardzo zabawny dzieciak, utalentowany karykaturzysta i dowcipnik do upiekania. —



Mówię do kolegów: - kójcie się Boga - toż tego smar-  
kacza trzeba by co temu w kącie gdzie schować - bo  
niech mu tylko różę pokazać, powie wszystko co wie,  
a nawet czego nie wie. - Jakże, rada w radę, sfa-  
brykowaliśmy mu pasport, zebraли co można by-  
ło pieniędzy, i pod pewną opieką wypchnęli za gra-  
nicę. -

Ale i około nas wszystkich coraz kuślej być  
zaczęło. Co nas też, albo który drapnąć, albo zo-  
stać wzięty. Co do mnie, chodząc z dala na  
ramieniu, coraz gdzieindziej nocując, zwleka-  
jąc jednak ucieczkę, dla powodów, które za-  
raz opowiem. W tych okolicznościach, trafi-  
łem raz na uprzejmego kolegę (jedynego co  
prawda), który mnie, z obawy odpowiedzial-  
ności, za drutem od siebie wyprawił. Nac też,  
pamiętam, przebiegałem po mieście i prze-  
siedziałem na Wistę. Tuż mi tymczasem o-  
calenie kogoś, nad którym miałem rodną mo-  
ralnej opieki. Był to Jędrzej Fredro, siostrzeniec  
mojej matki, student z gimnazjum, chłopak  
zdolny, gorący, bardzo mi ukochany. Tego ko-  
niecznie wyprowadzić należało.<sup>1)</sup> Trudności były nie-  
male. Mieszkał u profesora, pod bacznym  
nadzorem, i już się czegoś domyślał zaręczano.  
Koniec końcem, i to się jednak ucieśliwie  
udało.

Zatem, nie mając już nic więcej do roboty,  
sam wziętem nogi za pas, i tyle mię widzia-  
no.<sup>2)</sup> Nie oparłem się aż w Prusach Zachod-  
nich. Tam, tutaj się tu i owdzie, pilnie  
naglądałem: jak też w Warszawie rzeczy się  
obracają. Zależało to wszystko od przytomności  
umysłu tych, którzy już nie uniknęli swe-  
go losu, oraz umiejętności tłumaczenia się  
przy śledztwie, a głównie przemilczenia te-  
go, o co nie pytano. Ale jakbyż się to było  
pokierowało, w czas nie długi, wolałem już  
najcięższą dolę w Kraju, a nawet wywiezie-  
nie z niego z nadzieją powrotu, niż uwolde-  
żać się gdzieś od rodzinnej ziemi.

Jakoż, dręczonej tęsknotą, wróciłem wresz-  
cie chylkiem, zdając się na wolę Opatrzności.  
Na ucieczce, niebezpieczeństwo już by-  
ło zaręczane. Uniknąwszy przecież jednego,  
wpadłem w drugie - z tego zaś, własnym już  
przemysłem, wypłatywać się musiałem. Poda-  
no mię bowiem za zbiegłego - co znów w in-  
nym kierunku obudziło podejrzenia. Stąd dłu-  
gie śledztwo, wraz osobiste prowadzone przez  
Grassę i Abramowiona, następnie w Cytadelli  
gdzieś z kolei przeszedł przez ręce Blumenfel-  
da, Lejhtego, aż wreszcie samego Storożenki. Ten  
ostatecznie nakazał mię "bydlęciem" i kazał mi  
"iść do diabła", co też z tajną radością co prze-  
dziej skutecznym, wiedząc, że to było naste po-

1) W lat kilka potem umarł na emigracji w Interlaken swaj-  
carskiem, w skutek wybuchu palnych materji, w fabryce za-  
palek, gdzie się był pomiescił.

2) Wtedy też zmuszony byłem zniszczyć wszystkie moje reko-  
pisma - niektóre zaś cenniejsze papiery spróbowałem przechować  
w ukrytej mnie jednemu (jak miniematem) skrytce w pewnym  
Kościół - tych jednak, za powrotem takie już nie znalazłem. -



żądanej swobody. To zaś, że mię naruwał bydlęciu  
do dalsz dnia okiwnie mi jest pochlebne, daje bo-  
wiem miarę, do jakiego stopnia i powściągnięciem  
a konsekwencyą nie małą, udawać umiałem  
głupiego w obec tylu tych panów, z których ka-  
dej dokładnie słyszał jak trawa rośnie. Toma-  
chenie moje było i pozoru bardzo naiwne: po-  
prostu niektem ze strachu przed egzamina-  
mi; i to broń Boże nie za żadną granicę, ale  
do jednego obywatela w płockie, z którym się  
już poprzednio w tym względzie umówiłem.  
Do tego jednak pilnie podrobiałem materiały  
rozliczne jak najprawdopodobniejsze szeregi-  
ły i od tych ani się już ruszyć krokiem....  
Tu, jak mniemam, rozwinąłem nieposled-  
ni dar inwencji, a zwłasczą łaski, który  
oby mi był zdursze w równej mierze w utwo-  
rach moich literackich sławił! Ale te ok-  
oliczności były wyjątkowe - o skóre tu się,  
nie o stawę - a w takich, rając nawet li-  
sem się stawa. Więc jakbyś rożnieniu era-  
sy i corax biegłym badaczom na próbę  
mię dawano, nigdy ani się raził, tak  
łgalem gładko - i to mię jedne zbawiło.  
W tym względzie, nie zapomnę nigdy os-  
tatniego badania. Wzywano mię na jaką  
godzinę może przed zebraniem się komis-  
syi, siedzę jak na cenzurowanym, wtem  
niby przypadkiem, namówiwszy się o coś,  
nadszedł Lejchte. Pyta: kto jestem i po  
co? i dowiedziawszy się od Blumenfelda,  
nuż ze mną, w przyjazną pogawędkę. Znał  
moich krewnych (!) i niektórym nawet stu-  
żił w wojsku polskiem, za księcia Pon-  
stantego. Dobrze to były czasy! - ale potem  
ta nieszczesna rewolucja, a po niej emigra-  
cja. Emigranci są istotnie współterucja  
i politowania godni, a takie i młodsze dłu-  
siejza w Kraju. Niedobre książki czyta - ale  
i o to mnie; Prąd znów nie tak srogi -  
było zaufanie do niego miano. I te tam ni-  
by spiski, to takie diuciniństwo - nikt rozsąd-  
ny nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.  
Co do mnie, pomań zaraz, że jestem umys-  
tu bystrego, i że mogę gdy zechcę zająć da-  
leko. - Wszystko to przepłatane było gładkie-  
mi wycieczkami: w szeregi, życia kolereń-  
skiego na Kursach prawnych, w trudności  
pobytu w Galicyi (skąd, jak wiadomo, zbie-  
gów odstawiają) albo w polnańskie (które: czy  
bardzo jest niecierone? on tego nie wie) i  
wreszcie w przyjemności pobytu na wsi (która  
to wieś mianowicie: w jakiej się znajduje  
okolicy? czy miłe ma sąsiedztwa? i tym  
podobnie). Miałem tyle zimnej krwi: że po-  
dziwiać mogłem cały artjam owej niwy, po-  
gawędki, która w istocie była w swoim ro-  
dzaju arcydziełem śledztwa. Sam mówiłem  
tylko pytany, i to jak mogłem najmniej,  
ale swobodnie i, jak w poprzednich zezna-  
niach, udając głupiego; - sądzi, jednak, że  
mimo to, on jeden odgadł we mnie franta.  
Wobec Komisyyi bowiem, z serdecznego wpro-  
dy przyjaciela stał się nagle najzapaławszy-  
szym wrogiem, drwił z moich odpowiedzi,



przyskakiwał do mnie i pizicią, twierdząc wreszcie: że jakbyś mi byś gadać nie umiem, onby się podjął nauczyć mnie śpiewać.

Koniec koniec, jak powiedziałem, pu-  
scono mnie wolno, oddając tylko pod bacny  
nadzór policyjny, który też trwał coś lat parę.  
W ciągu tego czasu, ponieważ o służbie rzą-  
dowej mowy już nawet być nie mogło, zmu-  
szony byłem szukać sobie prywatnego po-  
mieszczenia. Jakoż, złożyło się takie, przy  
urządzeniu Biblioteki Ordynacji Łamajskiej,  
i to też bez wahania przyjętem. Wynagrodze-  
nie tam było ucałowane, ale przynajmniej star-  
czyło na opędzenie pierwszych potrzeb, czego  
mi wtedy, dzięki mojej opiece, prawie całkiem  
brakło. Biblioteka zaś, z pewnością najcelniej-  
sza z prywatnych w kraju naszym i biskupów,  
z chwilą śmierci Rycktera <sup>1)</sup> znajdowała się  
w najopłakaniejszym nieładzie. Wypadło po-  
 prostu od inwentarza zacząć. Tym sposo-  
bem, wyszło na jaw blisko 34000 numerów drucków,  
nie licząc kilku tysięcy duplikatów, oraz kil-  
kuset rękopisów. Pomędzy temi ostatniemi, zna-  
lazły się rzeczy niestychającej ceny. Z powodu jed-  
nej z takich, miałem sposobność widywać tu  
Augusta Bielowskiego, wyślanego ad hoc, jeśli  
się nie mylę, kasą Zakładu Biblioteki Ossoli-  
ńskich (dla dokładnego zbadania kodeksu Kroni-  
ki Galła, który już poprzednio opisał był Ma-  
ciejowski). Bielowski cześć był poważny, mił-  
czywy, swoją pracę tylko zajęty - równo z nami  
przychodził o dziewiętej, siadł, jak i my,  
aż do trzeciej. Z drabnem porównaniem spo-  
glądałem na tego potężnego przekładez Nowa  
O Putku Igora, oraz twierzę Pieśni o Henryku  
Pobożnym. Staratem się oddawać mu typizce  
drobnych przysług, ale on na to ani zważał -  
coś ja mu tam znaczyłem! Nie spotkałem go już  
nigdy więcej w życiu, i on się też pewnie nigdy  
o moim istnieniu nie dowiedział. Przychodził  
też tu często Cyprjan Walewski, pilnie przegła-  
dając broszury oraz Dwie Opactwa Czerwińskie-  
go - takie Maciejowski i Stronczyński. Ten os-  
tatni, pamiętam raz jednego, zjawił się w to-  
warzystwie jakiegoś księcia Światopełka Miński-  
go. Mówiąc nawiasem, najsurowiej zabronione  
było komukolwiek i obcych (wyjątek zrobiono tylko  
dla Bielowskiego) dawać do rąk swoje rękopi-  
sma i miniatury. Ci panowie jednak po-  
trafili sobie jakoś ująć kustosza, i ten dał im  
do przeglądania kzywoty, jeśli się nie mylę,  
Biskupów Krakowskich. Jestto wspaniały wo-  
lumin pergaminowy, iluminowany z rządk-  
kim przepychem. Nad nim tedy strawili  
kilka godzin, przepatrując, podziwiając, za-

<sup>1)</sup> Ignacy Łojola Ryckter, bibliotekarz i literat, znany z uporczy-  
wej polemiki z Maciejowskim. Wnosząc z nagromadzonych przez nie-  
go w Bibliotece materiałów, zabierał się do pisania Dziejów Akademii  
Łamajskiej - ale opierał się do najwyższego stopnia nieporządku, sądząc, że  
ostatecznie sam się w zrobionym przez siebie chaosie obłąka, i naresz-  
cie dał za wygraną. Wszystkie poprzednie katalogi pszatracał. Należ-  
niał wstąpić po nim beztadnie kupy kartek z notatami bibliogra-  
ficznemi, z których jednak nigdy się nikt niczego doczytać nie po-  
trafił. -



zdróżając. Alisci, w czas jakiś potem, Ordynatowa Konstantowa Łamajska, bawiąca wtedy w Pa-  
ryżu, odbiera przypisaną sobie z Zakładów Lemer-  
ciera chromolitograficzną podobiznę tytułowej  
karty tego rękopisu, przedstawiającą gronb Bis-  
kupów Krakowskich, królujących w Niebieskiej  
Chwale. Na domiar «śśliwości», wydawca (któ-  
rym był nie kto inny, tylko ów utraciszny Kie-  
cie Światopełk), słyech ten wytworny bardzo  
sumnie Ordynatowej przypisał. Narobiło to  
ogromnej wraawy. Ordynat Konstanty ostro  
za to zmył głowę komu należało, i znajdując  
ie stusność była po jego stronie. Pokazato się  
bowiem: ie Stronczyński na poleceniu owej  
miniaturę przekalkował (podobno i wiele in-  
nych), do tego nawet pogrubiał obrysy, co rep-  
mło całkiem pierwotną delikatność malowidła.

W Bibliotece tej, miałem sposobność i  
widzieć dużo radek rzezy, i pniecytać tei  
nie mało, - choć to ostatnie robiło się tylko do-  
padkami, bo praca była mrozolna i pilna,  
- jednak, z postępem czasu, nabywszy wprawy,  
msina było, po parę godzin dziennie, bez wy-  
rutu sumienia, na swą korzyść od niej oder-  
wać. Tylko ie niebawem, pseratem silnie cier-  
pieć na oczy, skutkiem czego zmuszony byłem  
wyjechać na kąpiele do Buska. Tam dobyw-  
szy się w ciągu sześciu tygodni, porastało  
mi jeszcze dwa umysłitem obrócić na zro-  
bienie wycieczki po Krakowskiem. 1)

Wybraliśmy się tedy pieszo we dwóch,  
z kolegą moim sakolnym i przyjacielem  
Kieronimem Ciemnieńskim, i inni to  
powiedzieć mogą: mało w życiu mojem odby-  
łem pożyteczniejszych podróży. Zwiędzili-  
my tę prastarą naszą dzielnicę wadłur i wneri,  
(nie pomijając nawet zakładów górniczych na po-  
graniczu Śląska) - wyrastaliśmy gdzie nas nie po-  
siano - nie było pizdri ziemi wstawionej w dziejach  
(a przecież Bogu jest wiadomo: ie tam wrystko pnie-  
stawne), które byśmy nie uxcili - nie było tak za-  
padłego kąta, w którym byśmy nie (ucili) - szakali  
guna. Bo jureto bywało się na wojcie, ale łakie i pod  
worem. W Krakowach wzięto nas za emissaryusów ga-  
licyjskich (było to bowiem dość śnieko po wypadkach  
w r. 1846) - W Koronowie ładaty na nami dżeciaki,  
sądząc, żeśmy wędrowni komedyanci, w Grodzisku,  
wreszcie o mało nas nie wygranscili chłopci. 2) Podało  
(młodości!) przeniesione na str. 32.)

1) Oprawda, rozrywka jakakolwiek, i z innych jeszcze powodów wiel-  
ką stała mi się potrzeba. W roku tym bowiem doszedłem do pełnoletności,  
a stąd obowiązek wystąpienia w obronie zagrożonych praw młodszej  
siostry. Bogu tylko wiadomo, kontem jakich wysiłeri udało mi się wren-  
sie ocalić jej schedę, a raczej przemocą wydrzeć ją z pazurów opieki. 1/2 mo-  
jego własnego mienia udało mi się uratować zaledwie parę tysięcy zło-  
tych, oraz część spadku po matce.

2) Zdarnienie to warte jest szczególnego opowiedzenia. Zarli-  
my tam na noc, do karzemki dość odludnej, w której, za całę je-  
dienie, dostaliśmy głon chleba i kawałek sera. Ale ie wieczór był chłó-  
dny, chcieliśmy się uprzydzy napić wódki. - Wódki niema - ani pi-  
wa nawet niema - jakto? żeby zaś w karzemie?... A tak... Dżie-  
dnie tam w lochu oło beczki obie na kłódkę zamknęły. Bo dżinaj od-  
puszt w Skale. - Nie mogliśmy pojąc powinowactwa tych dwóch wyobra-  
żeń. A to zaś rzecz tak się miała: ie ile razy jest gdzie jarmark albo  
odpuszt w miasteczku, wtedy na całą okolicę wyszynk się już nie opła-



ci. Chłopi bowiem, wracając do domu podochozeni, wszędzie po drodze na-  
dzi dolewają, aż nareszcie gdzieśkolwiek nad miarę przelać, przyspie-  
wają a tańcu, że to naród dziwnie jurny, nux się za tby, a że w takich  
razach nie kartują, więc z tego zwykłe kalectwo, a czasem i co gorszego.  
Po tem objaśnieniu, tylko cośmy się ulokowali na ławie - aż tu rym we  
druwi: - A otwierajcie ta! - Otwarto. - Wódki! - Niema. - Piwa! - Niema.  
- fakto nie ma? By psia wiara. - No, no, nie psuwać. Przednie nie  
karat - to i dosyć. - Przednie? A! Patrzcie go! No to my się tu przez wyspo-  
kiego obiedziwa. Hej! muzyka! - W okamgnieniu inba się zapelnita. Wnys-  
ci byli porządnie podchmieleń. Najwięcej przewodził rasty, tegi, przystoj-  
ny chłopak, z ciemnym wąsem, w zupełnie świeżych butach, któremi też  
ład się ciągle popisował. Ten karak porwał z tej cizby jakąś dziewczę,  
ujął się w boki, i zaczął w niebogłosy spiewać Krakowiaka, do którego się  
skrypek jak mógł dostarczał, ale nie bardzo to szło gładko - chapka mu cią-  
gle na oczy spadła, co zaś do basetlisty, ten przez sen wodził smykem  
gdzie się trafiło. Rozpoczął się taniec - taniec we dwoje - pierwszą parę w sz-  
cin widziałem podobną. Dziewucha uciekała - on gonił, gonił klaszcząc,  
pukając, sygnąc iskry z podków, przyklekając, odsadzając się, kołtarni-  
brząc, powiewając chapką. Dziewucha smigala do ksta, z gracyami, kło-  
rychby się nie powstydzila najbliższo Warszawską Lancerkę. Miała na so-  
bie haftowaną spódnicę, naszywany gorset, huk wstążek i korali. Wszystko  
to sumiatało wokół niej, i niemal warcata jak u frygi. Odrucata warkoce,  
sunęta jak tania, wywijata się jak tasica. Nie była ładna, ale zgrabna  
i gibka, zdrowa i brzydka. - Arew z mlekiem. Nie wiem już jak się tam  
ten taniec skończył, nagle bowiem powstała wraura, i nawet coś podobnego  
do kłótni. Szadź chciał, żeby skrypek jemu tylko do spiewu towarzyszył -  
a tu, co głowa, to rozum osobny - dość, że zrobiło się jak w Trybunale. Wtem,  
kiedy się tak swara, ten co stał przy przed chwila, jak nie huknie pięścią  
w stół, aż wszystko podskoczyło. Ochojcie tam do stu diabłów! Ja wam  
tu dopiruj zaśpiewam, co zobaczycie! - tu nastawił się bardzo buńczucnie,  
i wprost ogólną cizy, zaczął spiewać co następuje:

Ciescie się Polaki,

Bo już je po wojnie -

Cyzor (rozumieć tu należy: Austriacki) ustępuje

z kraju dobrowolnie.

#

Cyzor ustępuje,

Ale Moskol nie chce -

Ciescie się Polaki:

Bandzie wyna jenc.

#

A no wy Polaki...

Ala w tem klorys ze starzych braci go tokiem, pokazując w naszą str-  
nę. Zaczem zbilo się w kupę, i poczęły się szepty, wcale dobrze nie wrzą-  
ce. Tedy nie było co dłużej tu popasać, tem bardziej, że i gospodyni do  
odwrótu nas zachęcała. Więc wysunęliśmy się gładko, i poszli pomszpać,  
pod brogiem na polu. A no owa veritas in vino dziwnie dala mi do-  
myślenia. Z niej bowiem przekonani się mogłem, jak dalece mylą się ci,  
co mniemają, że lud nasz ani rozumie ani dba o to, co to Gęryna, al-  
bo co by Polakiem. Choć znów, jak tu z tem pogodzić i objaśnić  
kierem przeciwnie? D Trzeba tedy przypuścić: że jak wszędzie, tak i tu, ten

D Jednocześnie z zamierzonym powstaniem w Galicji, jak wiadomo, przy-  
nto też i do ruchu w Krakowskim - ale chłopi rucili się na dwory, pobrali  
obywateli, i powiązanych podstawił do powiatów. Za tę przestępę Rad-  
lek powynadgradzał, ale swoją drogą, za samowolę (znadź w obawie rzezi)  
srodze w Radomiu karat. Jedną rzeczawką ta chłopka, miała całkiem  
inne niż w Galicji objawy. Nigdzie się nie dopuścili najmniejszego ra-  
bunku. Pełnie tylko szukali wszędzie broni i "zakazanego" jak mówili pa-  
piernu, twierdząc: że, nie chcą żadnych buntacyjów. Właśnie w tej  
samej klorys opisuje wędrownie, miatem sposobności oglądać ślady tego  
ich gospodarstwa. Było to w Dobiesławicach, gdzie wyolali byli Niemcy.  
Stawa Karębskiego (ten szarawa był potem do ciężkich robót, i umarł  
na Sybirze). Dwór tam wytrzymał najcięższe oblężenie, trwające



x sam jest stonunek złych i dobrych, głupich i nie w ciemną bitych; w nim w cym polepszenie może i nie koniecznie od osiwiaty zależy. Także w Galicji, przy całkiem równych co do ciemnoty warunkach, jedni Tupili i zabijali, a drudzy z największem poświęceniem broniili osób i mienia. <sup>2)</sup> Kwestya co do Krakowiaków, przypominam sobie, co mi na miejscu z przekonania o nich mówiono: „Lud to z kosciami dobry, a stworzony do wojaczki. Szkoda tylko, że taki niesforny. Ale jakby ich do karności utowić...”. „Ba, ba, do karności!” podobno tego dobrego nam wszystkim braknie...

© dniem i nocą przez dni kilka. Podczas kiedy na zewnątrz nieustannie obchowano, pilnując, żeby pod żadnym pozorem nikt z domu nie wyszedł; drudzy tymczasem pilnowali po najskrytszych kątach. Mocne bardzo podjęcie obudziły w nich nuty leżące na porębianie: - O! widzieli - było nie pismo żadne, ino jakieś patki - tak mówili - trza będzie tę znowu zawieźć do jednerata - on to się ta na tem xrozumie. Ledwie się udało organizację wywieźć ich z błędu. W czasie kiedy tam gościłem, nie było już śladów ich robytu, prócz powypalanych w ogrodzie i na dziedzińcu trawników - ludzie zaś miejscowi, jakby nic nigdy, podawnemu robili swoje, i ani się już odgraiali, ani choćby przypominali, co się stało.

<sup>2)</sup> W późniejszym czasie (w latach 1869 i 70), miałem sposobność zjeść nieco soli z gołębami w Zakopanem. Lud ten taki, jakim jest dzisiaj, to jest: wiodący dokładnie co się w kraju, ba i po świecie dzieje, niewątpliwie wykształceni osiwiata - rzadko dziś bowiem pomiędzy nimi znajdziemy niepiśmiennego - ale przypatrzymy mu się właśnie za owych wypadków. Marnie dane o nich od miejscowego wrobozera, księdza Stolarczyka. Ten, we Lwowie usiłowawszy przy Biskupie się trzymać, że był cudek bardzo zdolny, znajdował się na drodze do świątyni karmy. W tem jedną razą, wybuchły krwawe wypadki. Żywo się nimni zajmując, ujrzał ze zdumieniem: że w Tatrach, skąd sam pochodził, górale Zakopianscy, stanęli po stronie dworów, a już o miedzę i łamty nad Białką, objawy były całkiem inne. To go stansowco skłoniło na drodze poświęcenia szukać raczej chwały. Jakoś postarał się o probostwo Zakopańskie, i te mu karax dało, bo nikt się o tę bieżdę ani kusil. Kiedy przybył na miejsce, Księża tam nawet nie było, i osada, przeszła Krzyżowice, na, aż o milę na nabozenistwo chodzie była zmuszona; w całym zaś Zakopanem, jedna tylko, obca jakaś kobieta, krylać umiała, i tę też z tego względu nazywano piśmiennicą. Dziś widnieją już bijące owoce kilkudziesięcioletnich zabiegów zacnego kapłana. A jednak, Białokanie, mimo wszelkich jego usiłowań, dotąd ani się porbyliwego drapiestwa, i tylko sposobności im braknie, żeby się znowu oprzyntkami stali.



mlodości! Dwa tygodnie czasu, i to piechotę —  
 rzecz prawie nie do uwierzenia — tak jednak było.  
 Podróż tę całą opisałem nader pracowicie, i  
 próbowałem nawet wyjątki z niej w Bibliotece  
 Marx. pomieścić; ale ich niestety nie przyjęto —  
 więc w piec poszły, a z niemi i reszta. W tym  
 czasie poexye też porzuciłem prawie zupełnie, i  
 nie wróciłem do niej aż w porze ruchów roku  
 1848. Wtedy znów mi się w głowie rozpalilo —  
 księżki w kąt poszły — rozkałem tworzyć gorączko-  
 wo. Rzekęły te, były przepojone werwą komienną,  
 po większej części okolicznościowe pamphlety polityczne,  
 w lirycznej, dość rzadkiej formie. Utwory te, z przy-  
 czyną, jakby się dziś powiedziało — od autora miera-  
 nych, (to znaczy: ie, dla bezpieczeństwa, raczej  
 się je na pamięć umiało, niż powierzało piśmu)  
 — powoli przestawały i bez wielkiej szkody poprne-  
 padały. Mogę się mylić, i napewno się mylę,  
 sądzę jednak, że w innych okolicznościach, to  
 jest gdyby drukowaniem być mogły, byłyby mi  
 pewien rozgłos zyskały; tak zaś, skończyło się tyl-  
 ko na tem skromnem urnaniu, jakie może dać  
 nieliczne kółko przyjaciół. ~~Wtedy, przedpadał na~~  
 przeceńiam ich wartość, która, jak dziś, byłaby  
 już tylko historyczną. Przewijały się tam bowiem  
 postacie wszystkich głównych działaczy owoczesnych,  
 jak: Lamartine, Raspail, Cavaignac, Napoleon,  
 Ledrö, Audinot, Arzyksizie Jan, Jellaczye, Radec-  
 ki, Windischgrätz, Urban, Harman, Shariatien,  
 Willisen, Plüpf, Colomb, i wielu innych. O tytu-  
 ty niektórych piosen (było ich ze trzydziestu):  
 Urna (wyborcza) w Paryżu, Poet (Francuzki Ledrö) w Pe-  
 tersburgu, Ucieczka (Ferdynanda) do Inspruka, Mo-  
 dliwa Króla na balkonie w Berlinie, Metamorfozy  
 Mistra Makiawka, Rorkowor Crojga Orliw wspotr-  
 a, Wjard (Zawiadowcy państwa Arzyksizie Jana)  
 do Frankfurtu, Budowa floty Niemieckiej, Wiekawoc  
 w Niedmiogrodnie, Pochoń Berna, Dobywanie Ry-  
 nku, Bisquons touf i t.p.

W owym czasie, mienkają nas, rzecz ma-  
 ję

1) Na usprawiedliwienie tego twierdzenia, przytoczę parę wyjątków  
 które zapamiętać xdstatem. Oto na przykład Ledrö, sprawujący się z poselstwa  
 swego w Petersburgu. Stosownie do ówczesnego mniemania, miał on mieć xlecenie  
 upomnieć się o swobody dla Polski, zapewnione traktatem Wiedeńskim. O tem  
 tedy mówić zamiera, ale Mikołaj więzi nie daje mu przyjść do słowa. Nie pamię-  
 tam pierwwej strofy — dalsze zaś brzmią jak następuje:

A! no! co tam! Ruci do biesa  
 Cłkiety, interesa...  
 Kto raz pierwszy u nas gości,  
 Kwieczi miasta ciekawości:  
 Peterhoffy, Carskie Sieta,  
 Cerkwie, Dworec, cudów dieta —  
 A wieczerem, i głębi loiy  
 Spiew i balet Raj nasz stworzy —  
 Spiew, co w całym świecie słynie —  
 Baletnički, jak Boginie!  
 — Sire! Nasie bardzo mi ubliża....  
 Jam tu przybył aż z Paryża,  
 Nie dla tańca lub spiewaków,  
 Lecz — z potrzeby,  
 To jest — żeby —  
 To jest — żeby dla Polaków....  
 (Dalszy ciąg na str. 33.)



na Holandia cała w Klasztorze Karmelitów na Lesenie,  
w tych samych celach, które patriotom przedrewolucyj-  
nym za więzienia służyły. Boże drogi! jak się to tam  
wtedy było! Mimo stanu wojennego w Kraju, stanu

A! no! co tam! to nie zginię  
Chodzi, przedstawię ci rodzinie.  
Mój brat - Michał on się nowie  
To są córki - to synowie -  
A to iona - Fedorówna.  
Pater - a tamtej, coś darówna?  
To Frejlina - bierz się do niej -  
Graf, jej ojciec, z inochoj dżoni  
Sypnie posag, bratniaczki mile,  
A ja dodam drugie tyle.  
- Sine! Wasz mój mi ułłia  
Jam tu przebył ai z Paryžia.  
Nie dla posażnych buziaków,  
Lecz z potrzeby,  
To jest - żeby -  
To jest - żeby dla Polaków...

Dajcie pokój! ja ci chwałem  
Trochę pełnym gienieratem.  
Co ukradnieś, będzie twoje -  
Ja tam o to tak nie stoję!  
Inak nieskamitelnej służby  
Dac ci każę. No, a coiby  
Jeszcze chcieć, gdy w dżorskie święto  
Pleczy twe przewigisz lentę,  
I pater mnogie Manifesty  
Piersi przyodobię w chresty?  
- Sine! Wasz wielce mi ułłia...  
Jam tu przebył ai z Paryžia  
Nie dla Kragiów, ani Inaków,  
Lecz z potrzeby,  
To jest - żeby -  
To jest - żeby dla Polaków...

A! no! to już o tem przecie  
Mówmy lepiej w gabinecie.  
Pater! Ta złota z herbem blasku -  
I herbem moim - głupstwo - fraska -  
Jednak, proszę na pamiątkę,  
Chciej zachować tę pieczętkę.  
Że zaś mogą skraść w poolrózaj,  
Ż, by przyjań trwała dłużej,  
Racz więc przyjąć z chęci szerszej  
Egzemplarzy wórow extery...  
- Oprawdziwie... To klin w głowie!  
Co Samartins na to powie?  
Lecz ten obracić się gotów... -  
Ha! traf z nieba!  
Ułłia trzeba!  
Co tej extowick ma kłopotów! -

W innej pieśni (Metamorfozy Mistra Makiawela), Franciszek Józef, spowia-  
da się Makiawelowi z chwilowego osłabienia swojej władzy. Po dawnemu,  
może on i dziś wydawać patenta, poczynające się szumnie od słów sakramental-  
nych: *Wir Franz Josef...*

Tylko-widziś - to *Wir* głupie  
Jest dwójakie. Ja sam jedno -  
Drugie składa ai trzech w kupie.  
W-Windischgrätz-widzi nad wodę,

I, Jellacye Panus luby,  
R. Padecki, bitny srodek.  
Ołłi-ci miż wzięli w kluby.  
Choć mi to nie szkodzi w niczem

Owszem - sami tego żyjemy.  
Drog, drog zawrę, choć obciósas -  
Tak i Cesarz, zawrę Cesarz.  
Niech kto chce, ich kłnie i zgryzta  
A jam sobie Pan i Kwita.

Dalej Makiawell przedstawia Mikotajowi takich, których by można forytować na  
Gubernatorów w Paryżu:

- No - a gdyby Bonaparte? -  
- E - to takie exorta warte!  
Toi stryj jego, *my* tam oiec.  
(Bo już dzisiaj trudno dociec)  
Gorkich nam rąpędnat sieprzy.  
Czy ty myślisz: co ten lepszy?  
Niechno Francuzi skórę orinę.  
Pan Bonaparte won w Katorine!  
- No - to gdyby Cavaignac? -  
- Co Cavaignac? - ten sobaka?  
Ktoż i oem mu gardło ratka?

Ojciec jego iinał Króle -  
Matka, wściekła demokratka -  
On sam, kultaj puszczał kule  
Na Czerwone barykady,  
Któróm kaxat wnieść dla siebie.  
- A Samartins? Pfi! Ten bładz  
Ten wynoczek! co to grzebie  
W Żyrondystach, i w swą lutnię  
Wierzy naxbył reholutnie!...  
- No - a Raspail - komunista?

- Co? co? Bierz go exortów trzysta!  
Pom tym nixem nie dogodzi.  
Choć z nich kaidy orzust, stodziej,  
Usyp z złota Himalaje.  
Jeszcze mało dla tej zgraje.  
U nich, własności, zwie się: Kradzież.  
By ją odkraść, dżud, chciwie  
Jyp im, kładz im, nie nadkładzien.  
Wiżej mają, w perspektywie! -

Wreszcie w pochodzie Berna (do którego dorobił nawet muzykę Ignacy Mo-  
morowski) była jedna strofa taka:

Nas Bern, ni z konia, ni piechotę -  
On na armacie oklep ot -  
Wiać ja za uszy obie,  
Ostroga w boki dżisbie,  
Kule jej daje do bykania  
Złota nablę w marsz pogania.



obłężenia w mieście, mimo niestannego nadzoru policyi, nawet rewizyi dość częstych, wypadki Lutoswe rozpoczynające ów rok jubileusowy, wydawały nam się rozpoczęciem jakiejś promienistej ery. Z dniem każdym niemal: to jakiś nowy tron przymierzał, to jakiś niespodziane braterstwo światła - jak się tu było nie śnić - jak nie cieszyć? Jedynym nie wesłym naszym towarzyszem był Teodor Strawiński. On biedaczysko dogorywał na cierpienie wątrobiane, a wreszcie przytęża gorączka trawiąca, a z nią i smutny koniec pełnego nadziei życia. Przynajmniej własnej wiary nie przeżył, i nie doczekał swobody, jak my pozostali. Niebawem też i ktoś nasz usca-  
plac się poczęło. Wiele z niego na Sybir poszło i na Kaukaz - niektórzy tylko szczęśliwsi w Hamoj-  
skich Karamatach rekolekcyje odświadczyli. Zmi-  
chowska i Shimborowiczowa w Bibliotekę pokutowały. Karol Baliński, powtórnie do Cytaelli wzięty, tam jakiś czas trzymany, wręcznie się jakoś wywikław-  
szy, mimo surskiego policyjnego dozoru uszedł z kraju, i już go odtąd więcej nie widzieliśmy. Okoliczności te wszystkie, w połączeniu z coraz  
posejniejszym obrotem sprawy wolności po świe-  
cie, bardzo przykro na mnie oddziaływały. Oswia-  
tem, świat mi spochmurniał, popadłem w zwąt-  
pienie. Na domiar złego, skończyła się też praca  
w Bibliotece, i znów zostałem na bruku. Właśnie  
wtedy Andrzeja Hamojki poczęt urządzać kielugę na  
Wile - tam obiecano mi pomieszczenie - wskakie  
nie przedtę aż na wiosnę roku przyszłego (1850). Za-  
tem, nie mając co dłużej robić w Warszawie, wybra-  
łem się do Oczobresyna. Mieszkata tam od nie-  
jakiego czasu moja macocha, głównie dla wycho-  
wania swoich dzieci, a razem, żeby być bliżej  
rodziny. Tam także, siostra moja Apollonia, wy-  
sta była na Tadeusza Wieniawskiego (brata syn-  
nych w świecie artystycznym Henryka i Józefa).  
Ten zajmował wtedy posadę naczelnego lekarza  
w Dobrach Ordynacyi Hamojkiej. Dłotwiek bar-  
dzo zacny - nie miałem w życiu serdeczniejszego  
przyjaciela; i śmiało to powiedzieć mogę: w  
domu jego, w każdej przykłej okoliczności życia,  
znajdowałem zawsze przystań obustronnie po-  
żaloną.

Oczobresyn, w owym czasie, był to ra-  
dzaj małej metropolii. Znajdowała się tam  
najlepszą może szkoła w Kraju - Gimnazjum  
Imienia Hamojkich, powstałe na gruzach  
zmiesionej w końcu zeszłego wieku Akademii.  
Z przykrym, że Rząd ubocznie tylko w sprawy

1) Niemalże utworów jego drukowała Biblioteka Warszawska,  
Pielgrzym, Drwón, Przegląd Naukowy. Były to rzeczy może nie-  
co za pospiesznie twornone, stąd brak im rozmysłu i wiersz roz-  
wlekłością grzeszą tu i owdzie jednak spotyka się w nich uste-  
py wielkiej piękności. W swoim czasie wielce zachęcały i cenione  
dziś już stusnie całkiem zapomniany został - tak że nikt już  
prawie o nim nie wie. Niech więc choć tych kilka słów przyja-  
ciela odświeży przywiedle kwiaty na jego mogile. -



tego zakładu mógł się mieścić, (samci bowiem Ordynacy byli jego kuratorami)<sup>1)</sup>. Swoboda tam jakaś panowała poczciwa i duch secesyjny; mimo, że nauka stała może ostrzejszym, niż gdzie indziej porządkiem. Profesorowie, po większej części wychowawcy szkoły Strzemińskiej, wszyscy ludzie wysoce wykształceni, stanowili znakomity dobór, godny tradycji dawnej Akademii<sup>2)</sup>. Stowem, rzecz moge: zwałatem tu niemal ten sam powiew ożywczy, który nam niegdys na naszym cichem Lesznie uprzyjemniał pracę. Dodawało też uroku otoczenie, wśród którego się tam żyło. Justo Ordynacya Łamowska, tradycyjnie bywała przytulkiem wszelkiego rodzaju rozbitków. A i dziś jeszcze, czyż to jeden się tam tuli emigrant lub Sybirak? W owym czasie Zarząd Dóbr prawie wyłącznie obsadzony był dawnymi wojskowymi polskimi, lub innymi ile notowanymi rewolucyjnymi duchy. Obywatelstwo też okoliczne, po większej części dierżawcy Ordynacy, przeważnie do tej samej należeli kategorii. Zład, ten swojacki, jak powiedziałem, nastroj życia, obywatelsko-starszadawny. Miasteczko samo, w uroczym położeniu, wśród wzgórz ponad Wieprzem, mając w pobliżu niemięlniejsze ludne osady Żwierzyńca i Klemensowa, pełne było ruchu. Niemalże rodzin z Wotynia i Galicji zjeżdżało tam dla wychowania dzieci (to była nawet i pensja żeńska). Żimą bawiono się jak za dobrych czasów. Stowem, pobyt w tej miejscowości bardzo był przyjemny, a jak dla nas, którzyśmy tam jeszcze w pobliżu i krewnych i znajomych mieli dużo, podwójnie pożądaną. Tam też, niemal w ciągłych przejażdżkach, przebyłem część lata, jesienią i zimę roku 1849. Wreszcie na wiosnę następnego roku, wreszcie zgłosiłem się do Klemensowa, gdzie obecny tam br. Andrzej Łamowski ponownie upewnił mnie o swoich dobrych intencjach. Ale kiedyś, polegając na tem, w Warszawie, do Dyrektora Szkoły Barcińskiego się stawił, ten zbyt mi nie ten, ni owem, a kiedyś nalegać począł, oświadczył mi, że nie wyglądam na to, abym mógł podjąć trudów nieodpłatnym od podobnej pracy. Może i miał słuszość - bądź co bądź osiadłem znów na koszu.

Tymczasem, porobiłem niektóre literackie stosunki. Za pośrednictwem przyjaciela mego

1) W następstwie stopniowo rzeczy się zmieniły. Rząd począł podglądać, podbadywać, następnie z ramienia swego coraz nowszych naukowców nasyłać coraz siekawszych, coraz więcej sobie oddanych - aż wreszcie Turkull wziął na siebie Gimnazjum owo od Łamowskich dla Rządu wytargować. Jednocześnie, nie wiem już czy z jego porady, czy też może tylko na jego rachunek to zrobiono - ale znowa odkryto tam niby jakiś spisek pomiędzy młodzieżą. Usłownie urządził to niejaki Horoszewicz. Zaczem posły zarządzić uwięzienia, wywózki, w końcu pożądaną zamknięcie szkoły, w której gmachach, exemplarnej Moskiewskim obyczajem, pomieszczono lazarety, ażeby, nawet zabudowania (a te były bardzo okazałe) ile możliwości spustoszyć. Od tej chwili, miasteczko także bezpowrotnie upadło.

2) Złamątką pochodził też Józef Łochowski, ów niesukcesywny entuzjasta, co to w przystępie mistycznego uniesienia w r. 1848, z przedziału pomnika Małachowskiego u St. Jana w Warszawie, wśród nabożenistwa, wygłosił do ludu podlegawczą przemowę. Złaje się, że już wtedy, skutkiem nadmiernej pracy, niezupełnie przy zdrowych był umysłach. Niemniej wystano go do Omska, gdzie też umarł wkrótce w szpitalu.



Teofila Nowosielskiego (chwalebnie nastawionego krajowi filantropa, a właściwie nawet pedologa - osobliwie bowiem umiłował dzieci), poznałem się ze stawnym fachowcem. Temu zaraz deklamować musiałem ustępy z poematu mego Marek Jakimowski - nie mógł się ich odchrząlić! Serdeczny ten człowiek odrzucał bardzo mię polubił. Doprawdy, przeszedł mię do tego stopnia, że przygotowywał nowe całkiem wydanie a raczej wybór swych bajek, rady mojej zasięgał: jakie z dawniejszych zachować, a jakie usunąć. Na exercises, niemięj ufał w tym razie Józefowi Paszkowskiemu (znanemu przekładowi Szekspira); z nim tedy wspólnie dzielając, potowż przynajmniej odpowiedzialności udając z siebie zdołałem. W owym czasie, pracował on właśnie nad pomysłami do poznania zasad języka polskiego. Przek to była zalecająca się oryginalnością metody i przedziwną jednością wykładu. Pamiętam grammatykę rozpoczynano tam logiką i teorią składni - nie wiem, czy to z druku kiedy wyszło. Gromadził takie materiały do słownika przysłów, a raczej jak sądził wyrażeni stylowych - ale i z tem nie wiem co się stało. - Przek letnie miesiąc mieszkał sobie fachowcem w staskach. Chodziłszy tam z Nowosielskim, i wracali nieraz pończym wieczorem kiedy księżyc wschodził, czasem w towarzystwie Dobrzyńskiego lub Trosła - chwile te dotąd mam w żywej pamięci. Ten zacny człowiek tak nam bywał rad zawsze, tak się nam serdecznie cieszyć umiał, tak się nam bawił wybornie! Już on nieboraczysko wrok wtedy tracić zaczął. Był to człowiek nieznanej stopy charakteru, dziwnej prostoty umię i pojęć, niezmiernej, wdzielającej się zaradliwie, wiary we wszystko co dobre, piękne, szlachetne - nie podobna go było nie kochać.

Wojciecki także bardzo przyjaźnie mię przyjął, i mimo że w lat kilkanaście potem całkiem się dla mnie odmienił, nie mogę, jak tylko z żywym uczuciem wdzięczności wspominać chwile niejednokrotnie w jego domu spędzone. Nie uchrzął mi nigdy ani zachęty, ani pomocy wszelkiej. Biblioteka jego i zbiory stały mi zawsze otworem, równie jak i dobra porada, i on to pierwszy zachęcił mię do studiowania wkorów epoki Węgimuntowskiej, co moie, z całego mego literackiego zawodu, na jedyną mi będzie kiedyś poczytano załugę. W tem miejscu, chciałbym jeszcze choć kilku słowy przytoczyć się do uznania załug tego człowieka, którego dalsze pokolenie tak lekkomyślnie od wszelkich praw do stanowiska w literaturze odsadza. Jego postępek w metodzie badania przesłodzi wyprzedzić - nie to przeciw niemu nie mówię, bo nie mniej on spełnił swoje. Samouk, a raczej w ogóle człowiek mało co umięjący, tem bliższy był prostoty owych męczy, które Karłowicz gromadził; że zaś żadnego twórczego talentu nie posiadał, tem pewniejsze są jego wskazówki; że zamiast rozumować poprostu kochał, tem zacniejsze są jego sądy. Przysięli po nim przenikliwi, zasobniejsi w dary

1899.

Anna Magnuszewskich  
Wojciecka, wolska po literaturze,  
zmarła dnia 22 października, po przejściu lat 87.

Tylko tyle.

Była też siostrą Dominika Magnuszewskiego także sobie literata

1) Właściwie był to początek tylko, i nawet na nim się skorzystało - a i ten mi przepadł bezpowrotnie. Należał bowiem do rzędu tych utworów, które w rękopiśmie nie bardzo było było bezpiecznie trzymać w domu wówczas.



Boże, w zdobywce wiedzy, tacy jak: Ignacy Chodko, Pol, Rzewuski, Syrokomla, Łachowski, ale on ma to do siebie: że przed nimi wyszedł, i że im torował szlaki. Oni są sławni i takimi zostali, - on już dziś z pola przeszedł, ale niemniej był pożyteczny, i robota jego nie przepadnie. Inni, jak: Oskar Kolberg, jak Maksimierz Turkowski, rozszerzyli zakres jego działalności - niemniej on jest ich przewodzący. W młodości był z Bielowskim i Siemichskim, i kto wie, czy wpływem swoim nie pokierował dalszego ich rozwoju. Bo już to odznaczają go sławne chwalebne upomnienia w meczach, które mu były mile. Sam mi opowiadał, jak niegdys Andrzej Łachowski drwił sobie z tej jego jak nazywał, "chłopskiej literatury" - to go jednak nie zmieknęło, i robił dalej swoje. Stwierdził, co mu o nim powiedzieli moi na, nie podobna mu odjąć tej chwały: gorąco kochał wszystko co swoje, i że młodość tę udzielać umiał. Ciotki krewni, wysoki, ciotki domowych, wniośny mąż i ojciec. Sławne zajęty pracy, żywił przy sobie bardzo liczną rodzinę, bo nie tylko najbliższą, ale i dalszą. Wierze tam jakieś siostrzenice się przytulały, lub podrasła bratanicy. Nigdy też nie odepchnął nikogo z młodszych pracowników owszem, chętny wszystkim, umiał każdego osmieszyć i natchnąć otuchą. Co do mnie, jak to już wyżej powiedziałem, przy pierwszym kontakcie z nim mocno się mną zajął. Wiedział już o mnie od Karola Balińskiego - żądał tedy koniecznie czytać moje utwory; przeczytałszy nas, wybrał dwa (mojem zdaniem najlepsze, to jest: *Festne chłopskie orak* *Drzewie drzewce*) w których upatrzył niejakie powinowactwo z Bohdanem Leleskim (!), i oświadczył: że, czy się na to zgodzę czy nie, on to w Bibliotece Warszawskiej wydrukuje. W to mi grał właśnie nie co innego było życia mego marzeniem. Potem spojrział na podpis: - Felcyan? - co

4) Kiedy sobie przypominam pierwsze wrażenie poznania takich ludzi jak: Wójcicki, Jachowicz, Korzeniowski, Żmichowski, Bartoszewicz, itp. szczerze to powiedzieć mogę: że się wykle ograniczało na tem, że poprostu, jak to mówią, trzech zliczyć nie umiałem. Dziś stojąc w tym względzie o wiele się ustaturowało. Mogłbym na to przytoczyć tysiące przykładów; ale poprzestanę na kilku po-  
czepnietych z własnego doświadczenia. Przedewszystkiem usuwam na bok wszelkie pokuszenie równania mojej osoby z wyżej przytoczonych znakomitościom - choć tu mieć tylko na względzie wiek mój prawie już sędziwy, i zresztą jakie takie, niechby już najmniejsze, zasługi. - Niedawno temu, w pewnym towarzystwie, jakiś młody człowiek, sam zapraszający mi się przedstawić, zaczął rzecz w te słowa: - przedewszystkiem przyznaję się panu Dobrodziejowi: że nie lubię i nie uznaję żadnej poezji. Trzejwście poglądy Kochany Panie jest jedyną zasadą mojego życia, choć naprawdę, ściśle biorąc, powiem panu Łasławemu, zasady nawet uważać należy za przesady i t.d.... O tym jegomości sędziwy moi na (choć tak wcale nie jest): że mu piątej klepki braknie-więc wreszcie mniejsza już o niego. Inny znawca (ta razą był to już nakrój na literata), powiada mi ni stąd ni zowąd: - Słyszałem, że pan wieł w tragedji swojej (*Altki* - była już naówczas drukowana) wierzy miarowych. Przyznam się panu, że wiersze nierymowe w języku naszym uważam za rzecz pozbawioną wszelkiej przyszłej bytu. Tak mię gładko nauczył rozumieć ów młodzi-  
niasek, którego całą powagę stanowi dotąd to tylko, że jest siostrzenicem Destymy. Przechodzę do ludzi rozumniejszych. Dwa lata temu, na odebra-  
nie zaproszenia z Redakcji *Niwy*, poświęciłem ofiarować temu piśmie przekład wstępnej satyry Juwenalisa. Trzymano to dość długo w zawiesze-  
niu, nareszcie zająłano, żebym dołączył wstęp objaśniający, co też i usku-



20 sw. 37-8  
niektóre, w tym

III

to? pseudonym? - Nie - to jest moje imię. - A czemu nie nazwisko? - Rozumieć nie mógł moich powodów; musiałem mu stanowczo oświadczyć: że od swego nie odstąpię.<sup>1)</sup>

Tak więc, nareszcie dobiłem się przecie wyjścia na świat Boży. Dziś, nie wiem, czy się te rzeczy równie żywo odczuwają. Pism się namnożyło, i trzeba być chyba ostatnim bągraczem żeby się gdziekolwiek nie przykryć. Tacy zaś, co darmo dają swoją pracę (rządzą bardzo, i to chyba na pożytek dla zachęty) liczą się do dobrodziejów piśmi. W nowym czasie nikomu nie nie płacono Dawyma-

technitem; i kiedyś z gotowym już rękopismem do Redakcyi przyszedł, zastatłem tam Ochrowskiego, Chmielewskiego, i Sienkiewicza. Ten ostatni wziął rękopism, posrał go przegladając, i na poczekanie robił mi zamiaty błędów stylowych. Był to w ogóle pogadanka bardzo sobie poufata. - Inna rzecz, kiedy tu po raz pierwszy przyjechał Fredro młodszy (w towarzystwie Hoimiana), przyjaciele umyśliли wydać dla niego obiad. Odebrałem zawiadanie do składki - ale nie na to nie odpowiedziałem. W dni parę, natymniuje mię Lubowski, w daskim ogrodzie, i pyta o powód odmowy. - Dom ani aktor, ani pisarz dramatyczny, ani choćby sprawozdawca teatralny - powiadam mu, żeby go się porzucił. - Przecież byli tam i literaci. - Kapucone znajomi tych panów. Co do mnie - to ani ja nie mam przyjemności znać ich - ani oni kapucone nigdy o mnie nie słyszeli. - A on mi na to: - No tak. Co do Fredry - zapewne; ale Hoimianowi, zdaje mi się, że Estrajcher kiedyś wspominał o Panu. - To są własne jego słowa: - Wogóle, tak mi się zdaje: że nie ma nic taktownego, jak nie powiedzieć komus niegrzeczności. Ale na to trzeba podobno umieć zmilczeć w porę - a młodzień drwiejsi tak nawykła dwoi mówić i z zachwyceniem słuchać tej swojej mowy, że jej trudno czasem nie powiedzieć głupstwa. - Wracam jeszcze do przyjeżdżających. Ludzie starej daty, jak Zacharyaszewicz, Matecki, Estrajcher, Szujski, ile razy tu przyjadą, sami się jak najchętniej trudzą, to dawno odnawiać znajomości, to zawiierać nowe, - ale młodszym panom przedstawiać się trzeba w garkuchni, przy butelce. Prawda, że na tych sympozjach (jak dziś przynajmniej) przewyduje zwykle Lewestam i jakiś Rykowski.

1) Powody zaś moje, gdyby i dziś przyszło mecz tę decydować, byłyby te same co wtedy. Jest jakaś fatalność, przywiązana do mego nazwiska. Sądzę, że musi być tak trudne, czy też tak mało wybitne, jak rzadko. Nieraz, najbliżsi, nazywali mię Faleckim, Feliniskim, lub nawet Falskowskim. Nie widziałem nigdy, żeby się równie płatano pomiędzy np. Wójcickim, Wójczyńskim i Wójcikiewiczem; Górskim, Gurowskim i Góreckim; Trębickim, Trębinskim i Trębaczyskim - choć warunki tu przecie jednakowe. Ale już to i z moim pseudonymem nie lepiej mi się wiódło. Nikomu nigdy na myśl nie przyszło dopietniać takie podpisy, jak: Destyma, Ely, Fez - nawet wzmienić mniejszych jak: Miron, Ordon, Zbigniew itp. Co do mnie, wiecznie mi dorabiano do niego nazwisko, i to w sposób jak wyżej bardzo trafunkowy. Nie dalej oto jak temi dniami, przy wystawieniu na scenie Strzyżyka na drodze, nie wiem nawet jakim prawem, bo wbrew mojemu wyraźnemu życzeniu, na afiszach uparcie nazywano mię Feliniskim - aż wreszcie Echo odezwato się ze sprostowaniem.

2) Jako zabytek tego błędnego zwyczaju, do niedawna jeszcze, Biblioteka Warszawska, od czasu do czasu zamieszczała zawiadomienie: „jako ona płaci za artykuły takim ludzom, co by się o to wyrażnie upomnieli.” Wówczas tedy liczono tu na wyjątkowe jakieś zachwycenie, które już z góry panów pętnowano. Wreszcie, i tak datuje to dopiero od chwili kiedy już inne pisma płacić poczynaty; skutkiem czego, mogło Bibliotekę nabraknąć współpracowników. Ale nawet i bezcelnością nie zawiesz tu wskórat, to jest i wskórat, to już jak najskromniejsze było twój wskóranie. W latach od 1861 do 1869 wzięcie, byłem statym Biblioteką owej współpracownikiem. Pomieszczałem tam mnóstwo artykułów, a płacono mi tylko za krytykę, i to w stosunku 150 złotych za arkusz druku tak zwanym petitem; co wynosiło ledwie po cetero grosze za wiersz.



gania były o wiele większe. Przekonałem się o tem niebawem, kiedy, aby być zaufany w mojem powo-  
dzeniu, ofiarowałem Bibliotece wmiarkowany  
wyżej ustęp z Wjścieżki w Krakowskie, niewielką  
powiastkę, oraz poemat <sup>1)</sup> Termopile. Wszystko to  
sromotnie mi odrzucono. Przekroś mi to sprawi-  
ło nie małą - przykraję - głównie ze względu na  
Termopile, o których miałem przekonanie: że  
posiadają wartość niejaką. W istocie, dosi się na-  
wet podobały Sewerynowi Gołębisowskiemu, któ-  
ry też jeden bronił ich na posiedzeniu, i to  
sprawiło, że ich nie spalił. One także zjedna-  
ły mi znajomość z Henrykiem Cieszkowskim, a ta mi  
się bardzo przydała jak o tem poniżej powiem.

Poprzednio wspominałem jeszcze, że się przez  
Nowosielskiego poznał z Frypplem. Doprawdy, ma-  
ło w życiu spotkałem sympatyczniejszych ludzi.  
Właś wiele potem, kiedy mię doszła wiadomość  
o jego rozbiściu, miałem z tego taką przykrość, jak-  
bym utracił kogoś bardzo mi bliskiego. Istotnie, nie-  
powetowana to szkoda. Entwick był niezmiernie  
dobry - ostatnią kosulę z siebie byłby oddał bie-  
dnemu. Dziwnie łatwy w pojęciu, zawsze dobrej  
myśli, umysł miał bystry, serce na dłoni, wiel-  
kie do kraju przywiązanie. Z tego powodu był  
na noże ze swym bratem Cenzorem. Nie mogąc się  
z krwi wywieść polakiem, wolał być być Francuzem  
z pochodzenia, niż Niemcem - bo Niemców z du-  
szy nie cierpił. Jakoż, śledząc pilnie w papierach  
domowych, donosił wreszcie: że istotnie pośchadzili  
z rodziny francuskiej, osiadłej w Niemczech po  
odwołaniu Łdyktu Nantejskiego, skutkiem czego na-  
wet byli kalwinami. Z chlubą powiadał mi nie-  
raz: że opiesz jego mógł do grobu xstąpić z tą  
myślą udręcającą, że był Niemcem - gdyby on  
mu nie był otworzył oka. Istotnie, z krwi, z tem-  
peramentu, z powierchością nawet, krył to  
był Francuz. Ito go nigdy nie znał, w catości  
dowiedzieć się go może z portretu Simmlera, który  
jest jednym z arcydzieł tego Mistrza. Z postawy,  
spojrzenia, z ryśw, z ruchu głowy, wydatniejsztem  
ten umysł różnienis polidniowcy, wracliwy, zapal-  
ny, do uniesień skłonny, a razem do cyganii uspo-  
sobiony i do blagi. Jednak, nie prawda jest co o  
nim powiadano: że noga jego nie postąpiła z więk-  
szej części krajów, które opisywał; wiem że usze-  
dkie tam miał stowunki, które podtrzymywał  
nieustającą korespondencją, nie licząc już tego,  
że wybornie posiadał kilka języków, z któremi ca-  
ły świat zwiędzić można - usporobienia zaś nad-  
to był ruchliwego, żeby zdatat oługo na miejscu  
jednem wysiedzieć. Literaturę też angielską, hisz-  
pańską, włoską, nie licząc już polskiej, francu-  
skiej i niemieckiej, znał na palcach, i sąd miał  
o wszystkich niewątpliwie własny. W owym cza-  
sie zaczął już być pieszczochem towarzystw a  
oraz i literackich nakładców, i to go, jak mnie-  
mam, zwolna zepsuło, a w następstwie, o upadek  
przywiódło. Miałem w nim serdecznego przyja-  
ciela, zdelikatnością sobie własną, koniecznie  
zyskał sobie być mi wytecznym. Nie mogąc  
inaczej, podjął się uczyć mię po hiszpańsku,

<sup>1)</sup> Właściwie tylko pieśni jego pierwona - gdyż dalsze znaczenie  
później doroobiłem.



i mocno żałuję, że do tego nie przyszło; ale nagle wypadło mi wyjechać z kraju.

Powiadają, że kraj<sup>1)</sup> bo jak wówczas dla nas istniała tam granica<sup>1)</sup>; a jednak, nie dalej to było, jak na Włtyń, tuż za Włodzimierzem. Właśnie polecił mi być Henryk Cieszkowski (sam z tamtych stron pochodzący) krabiemu Feliksowi Czackiemu, który potrzebował kogoś do urzędowania mu zbiorów Bibliotecznych. Jakoż niebawem się tam wybrałem.

Sielec, była to cała gełba pańska, choć już nieco nadpruchniała rezydencja; i to bynajmniej nie skutkiem braku środków do jej podtrzymania, ale tak oto właściwym Włtyńskiemu rykiem purytańskim, który tak dosadnie pól w pieśni o Lierni Nanej podkopyć na uszytku potrafił. Pałac półkolisty ogromny, w cudownym położeniu na wysokiej górze, skąd tarasami spuszczały się ogrody ku rozległemu jerozolu, zdaleka już wyglądał bardzo okazale. - Bibliotekę zastatek tu dość zasobną (przeszło 5000 dzieł) i zaraz się zabrałem do jej urzędowania - ale się pokazało: że właściwie potrzebny byłem do towarzystwa staremu krabiemu. Był to człowiek blisko już siedmudziesięcioletni, dobry, grzeczny, wykształcony; ale całkiem zdziwaczny. Właściwie całe gospodarstwo na żonę (takie z domu Czackę) sam bawił się w muzykę dworską - ale osobliwie w Historję Rewolucji Francuskiej. Był to synowiec Tadeusza, wnuk po matce Ignacego Potockiego, syn Michała, bardzo zastawionego w swoim czasie obywatela i młodośnicka rzeczą ojęzycznych, i sam nawet nie bez zastęgu (był bowiem w r. 1826 bardzo pożytecznym prezesem Komisji Edukacyjnej trzech zabranych gubernii); tem więc dziwniejsza ta jego monomania rojalistowska, w rzeczy, nie a nie z nami nie mającej wspólnego. Tem jeszcze dziwniejsza, że mówił po francusku najopłakaniejszym akcentem polskim, którego nabył, jak mi sam powiadał, od swego nauczyciela Kurniewskiego, ojca starszego Michała, aż to mi tak było w naturę wrosto, że nawet w Paryżu, lekcye deklamacyi które tam brał od Talmy, nie na to poradzić nie zdolały. Historję zaś tę woja do nieskończoności przerabiał i wyglądał, i ciągle przepisywał kawał (miał do tego wyjątkowego sekretarza) i wysłaskim, czy kto chciał czy nie chciał, czytywał lub do czytania zalecał; przyciem najęśniej zasypiał, wpróżdy jeszcze niż drudzy. Zasypiał pisząc, zasypiał z fajką w zębach, czasem nawet przy obiedzie. Był to typ w swoim ro-

1) Za tę granicę, nieporównanie trudniej nawet udzielać pasportów, niż gdzie dalej na obojętne - tak dalece nie ingerowało sobie wzajemnego stosunku tych dwóch części jednego kraju, dopóki jeszcze coś sobie robiono z Kongresu Wiedeńskiego. Ukar zaś, zarządzający niesieniem tej granicy, był rzecz można, postanowieniem jeszcze jednego rozbioru Polski, przygotowywanym ostatecznie węgier nie jej reszty, co niechybnie i tak miało nastąpić, jakby utatuliły to wypadki roku 1863.

2) Potockiej, słynnej z talentu malarskiego. W wielkiej sali pałacu sieleckiego, pamiętam rodniny portret jej roboty, przedstawiający ją samą z trojgiem dzieci (to jest: synem Feliksem, oraz córkami, późniejszą generałową Szeptycką, i Anielą, która uparła pana), jaką Matkę Gracchów.



draju. Do tego niesłychanie roztargniony, nigdy nie wiedzący na dobre, co się z nim dzieje. Nie było nic pośpieszniejszego, jak widzieć, kiedy go ubierano. Odbywano się to często chodząc. Biegali za nim kamerdyner goliąc go, myjąc, czesząc, konułę mu wkładając, a za nim też lokaje i miednicy, i szorstkami. On tym czasem albo do fortepianu siadał, albo śpiewał coś uporemnie, będąc też jak się rzekło wielkim melomanem. Ła-tem, bywało kiedy szedł do kąpieli, niesiono za nim książki, papier, pióra, atrament, fajki - bo tam co najmniej dwie godziny przebywał, wskakując do wody, potem leżąc na ławce, czytając, pisząc, fajkę paląc, drzemiąc, i znów do wody wskakując. A pływając jak ryba. Ostrogi i drógi, krzepki, nigdy nie chorujący, swego czasu zawiąty jędrzeć, bywało do Strzemienia (milcos 18) wierzchem się puszczat - wtedy konie mu na drodze roztawiano. Z usposobienia i z wy-  
 czeniem się nie trudzący, widocznie stworzony był do czynnego życia - skądś więc, że kierunek jego wychowania (jak mi się zdaje przezwyczajnie macyński) nie wykorzystał tych jego zdolności w sposób korzystniejszy. A jako sam był zielarnego zdrowia, tak i u drugich nie rozumiał zmęczenia. Owego sekretarza swego, na całą noc zasadzał do przepisywania, jakby to były rzeczy terminowe - a naradziwszy najęśniej ani się o to spytał. Wszystko mu było duiwnie pilne. W podroży, nieustannie tylko poganiał stangreta: - no dalej - dalej! - coż ty w miejscu stoisz? - jakto? jęchiesz tu? - Drużba -  
 ciam te niegody, bo charakteryzują równie cnotę wieka, jak i w ogóle magnata Wotyńskiego, ję-  
 cze o wiele rozumniejszego i więcej wartego od drugich. W młodości przyjaźnił się z Kropińskim, znał też Felińskiego; nie potrzebuje zaś mówić, że nierazmiennie wiele ciekawych rzeczy -  
 bów miał zawsze do opowiadania o swym sławnym straju Tadeusiu. Tego zaś syn jedyny Wiktor w Porycku mieszkał, ale nie osobiście o nim w domu mówiono - nawet przy obcych - co mi się zawsze duiwnem zdawało, żyli bowiem z sobą na stopie przyjaźni. Ale co prawda, na Wotyńcu owym, obyczaje nie w jedynym względzie od reszty naszego kraju odstają. Pamiętam np. i to mię zawsze mocno raziło: ile razy przyjechał ktoś z gości, konie i służba zawsze do karekmy odchodziły, i nikt się temu nigdy nie sprzeciwiał. Co większa, przyjeżdżali nieraz do domu na czas służby siostry pana Feliksa - wtedy służba tych panów musiała się żywić własnym przemysłem, urządzając sobie za swoje strawnie stoł na folwarku lub na wsi. A przecież roduństwo to kochało się serdecznie; a znowu, z drugiej strony, na stole dworskim w domu żywiło się do stu ludzi, więc coż tam znaczyć przybytek pary osób lub kilku? - W ogóle życie tam prowadzono dość jednostajnie. Pani najęśniej za domem, objędną folwarki, nagleżdała ekonomów, bo była bardzo skrzętna, i to jej za zastęgę poczytała należy; inaczej bowiem nie wiem jakby tam sily interesa, przy owej historii rewolucji francuskiej a także po części i muzyce. W niedziele jednak panstwo oboje zawsze byli u siebie, i to było powszechnie wiadomo. Wtedy zwykłe ciągnęli sąsiadów i najęśniej tańców.



no. zimowe miesiące przepędzano w Warszawie, wtedy też miałem więcej swobody, cpać o prawda nie wiele się na tem zyskiwało, bo snów x kole prychodziło osamotnienie, i gdyby nie książki, nie starczyłaby skóra na wyprawę. Mójnowy doktor i kapelmistrz Czech byłito tylko starziłokaje, i jedynę xnosne towarzysztwo przedstawiło się tam w osobie niejakiego Malcewskiego głowniego karnadey dobr, którego żona była siostrą Józefa Korzeniowskiego. W nich też roku następnego w lecie miałem pierwszą sposobność poznać tego słynnego pisarza. Wracat wtedy z Odessy, gdzie miał również siostrę na Nowińskim, zdaje mi się stryjem Leonarda Korzeniowskiemu na szczęście odrazu xdotatem przedstawić się w warunkach bardzo dla mnie przyjaznych. O prsback moich literackich wiedział już z Warszawy, od siostry zaś miał przesadne o mnie xalecenie, iem z usposobienia wesoty i xmyśtu dość spostrzegawczego. Szczęście, że osobiście te dwa względz ostatnie dobrze go dla mnie usposobiły. Miał w sobie sporo xstośliwości, i xawrze lubił takich, co tę xylkę zdradkali. Do tego miał swój wstyp na nalcach, i w ogóle nie wiele pochlebnego miał o nim do powiedzenia. Odrazu mię wtedy osmicił, i niebawem byliśmy jakby dawni znajomi - powiem więcej - jakby literaccy współtowarzysze. Miedym się potem opatrzyć sam się xduumiałem, jak się to stać mogło. Ale już to Korzeniowski w wysokim stopniu posiadał tę poufalającą swobodę obejścia - byle tylko chciał - co kiedy nie xawrze chciał i nie z każdym. Wpalcu na przykład, grzeczności mu robiono wielkie - on jednak w ogóle dosyć storstko to przyjmował. Wtedy to mogłem się przekonax o prawdziwości robionego mi xaruntu: jakoby lubił niekiedy powagę swoją nosić narbyt wysoce. Co do mnie jednak, śmiało to powiedzieć mogę, że nigdy z jego strony na sobie tego nie doświadczyłem. Xawrze był mi nocerze xyceliwy, bardzo moich postępowi ciekawy, i w każdym czasie ku pomocy chętny.

W Sierpniu, tego samego roku, po ukonxeniu mojej roboty, opuściwszy Solec, pobyłem znnowu czas jakiś w Szecebrzeszynie i u krewnych, potem wróciłem do Warszawy. Tu xlastatem ruch ogromny. Właśnie jakos w owym czasie xniesiono granice od zabranych krajów skutkiem czego wylata się rzec można istna nawałnica narodów na naszą mało dostępną dolad Kongressówkę. Nie takiego xbiorsowiska wspekiego rodzaju cudaków a nawet awanturników chyba Warszawa od czasów Stanisławowskich nie oglądała<sup>1)</sup>. Niebawali jacyś Nababowie,

<sup>1)</sup> Jako typ tego rodzaju niedobitków, xacytować tu można xnanego Pistrz-Jaksę Bykowskię. Ten, ostatecznie uwignął w Warszawie, bo zdaje się że już nie miał do niego wracać. Stary ten Satyr, umarnowawczy ojcowizny, na posmak bar. dzo buńczucznie posiadał w mieście parę tysięcy Rubli, poczem z rozmaitem powodzeniem piecxeniarył tu i owdzie, robił dlugi, dopełniał wychowania bogatych młodziaków, stręczył się do rozmaitych postug - następnie wyspekulował sobie posadę w Komitecie Urządxiayczym - dziś zaś jest jednym z potężnych filarów Przeglądu Tygodniowego, i byle się wydarzył obiad jaki składkowy ku xyjemu uroczeniu, on tam xaraz z równem powodzeniem bywa przedstawicielem obywatelstwa, jak Lewestam - literatury.



Przypomina mi się z tej okoliczności następujące opowiadanie Szymanowskiego. Raz, kiedy, w powrocie od Łuszczyńskich, pod wpływem improwizacji, Przewuski, nie mogąc się uspokoić, Destymę niezadowolonym nazywał geniuszem, Szymanowski powiada: „E to nie tak nadzwyczajnego, ja tak samo potrafię”. Niech mi Krabia podoba jaki temat, a ja podejmuję się z tego powodu gadać wierszami, aż dopóki w gardle nie zaschnie. No dobrze. Niech będzie, dajmy na to, Obiad Czwartkowy u Króla Stanisława. Siadł w fotelu, zawinął się w szlafrok, i śmieje - aż wreszcie zasnął i chrapie. Wtedy Szymanowski buch pięścią w stół aż wyszło się z trzęsieniem, a tamten zrywa się na równe nogi: „Co to takiego? -

A to właśnie wchodzi Fremo, mówiący swą postacią niemią, Poładane wszystkim słowem: „Że już kupa jest niewiasta. - fakto? i ty ciągle gadales wierszem? - A fakto. Czy mam dalej ciągnąć? - Nie - nie - już będzie dosyć. Widzę z tego, żeś i ty geniusz. No - chodźmy spać. -

fantastyjni pseudo-bogacki, problematyczni obywatele, bajeczni magnaci, od siedmiu boleści marszałkowie, naderwani balaguli - słowem najhumorystyczniejsze z końca świata postacie, wirujące wprzód jak śmigło około Odessy, Berdyczowa i Petersburga, klecące się naonczas do Warszawy, jakby dawno sobie wspólne pasty. Wynikło to cierpienie jakieś monomanie, to do muzyki, to do teatru, to do koni, to do psów, to do polowania na posagi, to do porzucania się córek, exasem nawet ion - zapamiętałe się kręciło, grało w karty, piło, po wschodniemu snuwało jakimś resztkami, potem brnęło w długie i najczęściej kończyło skandalem, lub chociażem dawało drapakę przed wierzycielami - niektórzy nawet gardła sobie podrywali, lub w inny sposób porzucali się litrapijnego życia, którego nie było już cieniem podtrzymywane. Wtedy też pojawił się i Henryk Przewuski, który nawet w Łudnowie swym nie miał na co siedzieć. Że był jednak ciekawy przedsiębiorczego ducha, niebawem tedy wydawał sobie posadę przy Paszkiewiczu, oraz Koncesję na wydawanie Dziennika Warszawskiego. Wynikł ten ostatni stanowi rodzaj ery w dziejach pracy literackiej w naszym kraju - było to bowiem pierwsze pismo, które naprowadziło do odcinek, a co ważniejsze, za artykuły płacić poczęło. Tu takie rozpoczyna się działalność Władysława Szymanowskiego. Nie wiem już jakim sposobem stał się on satelitą Przewuskiego, bo przy tem nie był - ale to pewna, że mu się umiał stać niezbędnym. Niebawem nawet wprowadził się do niego, bo tamten obić się już bez niego nie mógł. Skiedym go u Łuszczyńskich poznał, sam mi opowiadał: że z Przewuskim do Krakowa jechać musiał (przy tej mojej gdzieś i dalej); że zaś w owym czasie o paszport niestychanie było trudno (nie licząc kosztu który na osobę wynosił 200 Rubli), pojechał więc w charakterze jego lokaja.

Tylko co wspomniałem Łuszczyńskich. Wprowadził mnie do nich Ignacy Komarowski, o którym, równie jak o bracie jego Józefie, dwóch najserdeczniejszych moich przyjaciół, osobno powiem. Właśnie wtedy pojawiła się była Destyma, i cudownymi istotnie improwizacyami swemi, szalone tłumy do domu rodziców swoich ściągając. Rzekłszy mi, w tych niewielkich trzech pokojach (w lewym skrzydle pałacu Saskiego, gdzie jest środkowy balkon od strony ogródki), bywało po dwadzieścia osób, tak, że nie tylko siedzieć, ale stać nie bardzo było gdzie, na nocować, jedni wchodzili, wychodzili drudzy. O salonie tym dwoje byłoby do powiedzenia - zastęga jego jest niezmierną. Istniał lat dwadzieścia kilka, przeżył najprężniejsze chwile, i oeni należy poświęcić nie jego gospodarzy, którzy dla owych pomieszczeń sami wyrzekli się wszelkiej zmiany trybu życia, i zec można do Bruku Warszawskiego przystąpić Zgromadzać



się tam wybór towarzystwa - istotnie to, co kwiatem jego rwał się godzi - arystokracja rodu, pieniądze, inteligencji, sztuki wszelkiej. Stawem tacy, którzyby się nigdy w życiu z sobą nie zeszli, tam spotykali się i nawiązywali stosunki<sup>1)</sup>. Co do improwizacji owych, byli tacy, co je podawali w wątpliwości - ja jednak śmiało twierdzię, że się mylili. Destyna istotnie posiada ten dar nadzwyczajny (nie wiem czy do-  
tąd). Bóg wie ile razy później nawet miałem sposobności sam to sprawdzić. Tajemnice formy dla niej nie istnieją, ma ona jakiś niepojęty dar wyławiania sobie z dobyczy swoich nadszko-  
wych w dziwnie harmonijne porządki, z których, jakby na najlepszych czasów greckich, tworzą się godne cześci świątynie. ~~Improwizacje te~~

1) Na tych wieczorach, bywało, panie usunęły się wedle potrocy, poczem podawano cygara i papierosy, a w parę godzin zostawała już tylko garstka niecierpna na poufalną pogawędkę. Wtedy dopiero istotnie się bawiono. Ktoś grał lub spiewał lub co krytał - przeglądano najnowsze książki, nawiązywała się rozmowa ogólna, zwykle pouczająca, a w każdym razie jak najmniej po-  
wierzchniowa.

2) Po za obrębem tego daru, jest to osoba mierna całkiem. Własne sądy jej o rzeczach sztuki są luksemburskie, w życiu zaś codziennym zdaje się cho-  
dzić o markiem, i nigdy jeszcze nie brała gdzieś potrzeb, a raczej zawsze tam była, gdzie się jej najmniej spodziewać godziło. - Na pogrzebie Piciu poległych niosta koronę ciemną i improwizowała Przewodni Smartwych wstania - a w jakiś czas potem rzuciła iatobę narodową, i nie wie-  
dziać po co bywała w Łanku i Łankienkach. Później, kiedy porzuciła tych wszystkich objawów lojalności, ojca jej wywieziono, pojechała z nim dobrowolnie, i to się jej chwali. Ale dlaczego, zaraz po powrocie, po-  
jechała znowu uczeszać do Łanku na którym już nawet nie kładzie Konstanty, ani Wielopolski siedział, ale taki krowawy oprawca kraju, jak Berg wielkopomny, który jeszcze w dodatku ojca jej wywiezić karał. I te-  
go nikt nigdy nie docieka. Następnie, po śmierci Rodziców, jakbyś był miała aż nadto zapewniony, ni stąd ni zowad osiadła na rezydencji u niejakiego Włosa, wielkiego brudasa, który w ciągu lat kilkunastu z niczego zrobił kilka milionów majątku. Zdaje się, że na dnie tego wspan-  
kiego posiadłości siedzi, odnieksieniona po matce, dręczona znowu iadną try-  
ginalnością, oraz cierpiącą chronicznie brak taktu. Destynie wiecznie się wy-  
dawało, że jest chęć tak wielkiem w narodzie, że nie tylko nie może ro-  
bić tego co drudzy, ale owszem drudzy robić powinni to co ona. Nie bez  
tego, żeby się tu i zamieszanie zbytku za coś nie liczyło. U tych Włosa  
mieszkając, urządziła wieczory sobotnie, na których występowała w cha-  
rakterze Królowej, mającej swój dwór symboliczny, i porządkowane go-  
dnosci. Dygnitarze tego osobliwego dworu nosili odpowiednie godła  
w dziurze od guzika. Składał się on z samych niedorostków, w posród  
których, jednak stary Odyniec rui wstydził się nosić ucho (jako niby  
spowielbik), oraz Skimborowicz książkę, jako Bibliotekarz. Amiesności do-  
chodziła tam do swego zenitu. Niejakiego Miłkowskiego (podobno zran-  
belana jej Królewskiej Mości), bardzo lichego smarkacza i potroś na-  
wet mizimieszka, wcale jednak nie za te jego sprawy ale za jakieś du-  
chowe poronieniewierstwo, publicznie tam dekapitowane in effigie - to jest  
wnięto głowę jego fotografii. Treść wszystkim jest znana pocieszna, uro-  
czyście uwłeczenia przez Destynę Prądkyńskiego, autora praw Kobiety.  
(Ten - trzeba takie komiczne Nemesy! - w czas niedługi potem, wplęta-  
ny po uszy w słynne przekradanie okowity, zmuszony był wciągnąć nogi  
za pas i bodaj czy się z tego wydobył). Na wieczory te przychodzić na-  
leżało ubranym jak na bal - sama gospodyni (risum teneatis) pilnie tego  
przestrzegala. Z tego powodu, o brak białego krawata, miał z nią raz  
bardzo prędko zajście hr. Stanisław Łaskowski, tak, że się zamknął przyjsi  
tam więcej - co prawda niepotrzebnie i wprzód przychodził. Nareszcie  
zaprowadziła tam czytanie swoich utworów - które już wszyscy dru-  
ku. Wtedy, bywało, wnoszono jej tron ponad głowami obecnych - na tym

w Łanku

2)



4) *Improwizacja*  
 jeden, odrzuca i niecierpiem, a jednogodnem  
 przyjęte umieszczeniem, w następstwie rodzicem  
 Destymy (a pewnie i jej także) dziwnie uoleny do

ona urosnąć i zasiadała (na umieszczeniu), i rozpoczęła ową, ucztę  
 duchową, która trwała czasem parę godzin bez przerwy. Te zaś wielki  
 iścis tam pisał a z nim, wrotnikowe gorące, wielu tedy zasygnat, i  
 ci bardzo ale bywali notowani. Na te ucztę wiecznie zapraszata Berga, i  
 narewnie jedną z takich raszyt obecnością swoją zauczycie. Prucito to po-  
 strach na całą dzielnicę - ten bowiem bowiem zjechał tam jak zwykle  
 w otoczeniu Czertkiesów, policja zaś obsadyła tymczasem wszystkie wej-  
 scia i wyjścia. W innym czasie nawiedziły podobne byłyby raz na raz  
 sze salon, wieczerki opóźniły - ale dziś, porbyto się już nie jednego prze-  
 sadę, xrentę i towarzystwo tam bywało stosownie dobrane. Od niejakiego  
 czasu już te przyjęcia ustaly. Sadzę, że miały na celu reklamę dla  
 Wolfów i porobienie im obywateli - ale to, jak się zdaje, chybiło. Do-  
 prawdy, rzecz przykra nawet powiedzieć, do jakiego stopnia Destyma  
 się w tym względzie zapominata. Raz, zastatę ją na wieczorne u-  
 janiusztwa Portnowskich. Tam, bawiono się nią w jak najlepszym to-  
 nie, narewnie, widząc że tego tylko pragnie, prosiła żeby co swego  
 zadeklamowała. Wtedy, na jej skinienie, lokaj wniósł grubą torbę, w któ-  
 rej się mieściły wszystkie jej poezye, i z tych wybrałszy jedną (na po-  
 czątek) recyta barbro majestatycznie: - Pieśń błękitna - pomyślana ser-  
 decznej mojej przyjaciółce Eugenii Wolf... - W tem, zwracając się do Kofii  
 Ossolińskiej: - Pani nie zna Eugenii Wolf? O pani! życie tej kobiety jest  
 jedną, ciągłą poezją! - Tu dopiero poczęła wyliczać wszystkie jej enoty, za-  
 pełniając na podobieństwo komiwojajera, zachwalającego prośki barcha-  
 now, albo markę wodowy Clicquot. (Mówiąc nawiasem, ta osoba o nieu-  
 stającej poezji, w sam dzień ślubu z jakimś ukochanym młodziakiem,  
 kiedy się zagnęła Wolf jej oświadczył bez namysłu zerwała z tamtym,  
 i za tego posła, z bowiem tamten był sobie tylko urzędnikiem w Nie-  
 srawie, ten zaś, choć i tydzień i okropnie brzydki i jak się powie-  
 działo brudas nieposłusny, ale miał już gruby worek, do którego  
 coraz więcej rubli przybywało.) Nie, - ta torba z próbkami uczucia  
 ważona po wszystkich drogach - to rozdawanie przy nich adre-  
 sów - było dla mnie czymś tak dojmującym przykre, że byłbym się  
 pod ławę schował ze wstydu - przypuszczać się godzi: że Destyma  
 poczyną już sama siebie przeżywać. Za dowód postawić może jej  
 powieści "Na Rondroiu", która na niewidziane na wagę, która jak  
 zwykle zapraczona, w rzeczywistości okazała się być kotem w worku,  
 zdolniejszym podstrząsać prenumeracyjne myszy, aniżeli choć jed-  
 ną przywabić i schwytać, jak na to liczone.

\*) Nadskakiwania te - pokazało się wreszcie - nie były bynaj-  
 mniej bezinteresowne. Jakoż uwiecznione zostały dożywotnią pensją  
 1500 Rubli, które wieniec (równie jak i Odymiec - trudno wiedzieć  
 za co) od rządu pobiera. Takich smutnych wypadków można by  
 i więcej naliczyć. Niedawno temu, kiedy umarł Kasztelan *Debow-*  
*ski* - (ostatni z Kasztelanów, jak się o nim niechętnie nader tra-  
 nie wyraził Skimbołowicz), chociaż nie bez zasług niegdys w Kraju,  
 ale dziwnie rozpustny i niernadny, i przeto spóźniejący wieczerze  
 u Rządu Zebrana, Kłobucze Karol go pochował karat swoim kon-  
 tem, a za to karty pogrzebowe były po rosyjsku, i Własow całym  
 obrzędem osobiste kierował. Policja też rozpędzała wiernych  
 i rozmaite żejności, wyciągając osieki córce nieboszczyka, która  
 zaraz po śmierci ojca pobięła prosić o to do Łamku. -



47  
+7)

Smierci Skimborsowicza a następ-  
nie Odyńca, najzupełniejszy prze-  
wrót w przyszłości Deotymy  
sprowadziła. Kawalenie się tych  
dwóch filarów tronu, na dobre  
jej wyszło. Zeskromniata - zwol-  
na kółko dworaków się rozpię-  
chło, i nareszcie sama szukała  
pozęta dawnych zaniedbanych  
stosunków. Jakoż, na obchodzie  
jubileuszu Zacharyasiewicza,  
zblizyła się do nas, i po stare-  
mu, szczerze prosiła o powró-  
cenie jej dawnej przyjaźni.  
Kawignato się to temu łatwiej  
ile że wszelki nastrój uroschys-  
ty jej salonu bezpowrotnie  
w mgłę się rozwił. Wreszcie,  
z wiekiem, przyszło niechro-  
wie, aż i obecnie coraz sil-  
niej jest cierpiąca i prawie  
już chodzić nie może. Garst-  
ka odwiedzających ją coraz  
się zmniejsza. Czasem zastaje  
ją można najzupełniej sa-  
ma. Ztem wszystkiem, nie  
nie robi dla ulżenia sobie  
cierpienia. Po dawnemu no-  
cami żyje, nadmiernie pra-  
cuje - zachowała jednak ca-  
łą żywiołowość umysłu - a nawet  
poowiedzieć można - bardzo  
jej jakoś wypogodniała du-  
cha - co bije tylko wy-  
szych usposobień udzia-  
łem. —

głowy. Łukasiewicz oboje nigdy nie grzeszyli  
zbytkiem lakty - przyszło tedy do tego, że kiedy  
te ulwory krytyka na zimno rozbić po-  
sta, i nieco umiarkowaniej, przed niemi bić  
exotem, brali to za osobistą urazę. Wtedy Nie-  
wiarowski, jakoś dowcipną parodią, impro-  
wizacji, dobrowolnie drwił sobie ich salonu  
przed nosem satrasnał. Mniej dobrowolnie  
spotkało to Szymanowskiego, który, dziwnym  
duchem sprzecznosci, w oczy kładąc im nie-  
pomierne, (tak, że każda imprewizacja w Dzien-  
niku zamierzona, karała odbijać stołami  
ozcionkami na różowym papierze), jednoczes-  
nie tu i owdzie osmieszał Deotymę, sam im-  
prowizując jej ukroem w sposób pocieszny, do  
czego ma istotnie talent znakomity. Co gdy  
do nich doszło, poprosili lokajów że  
schodów go zwrócić, gdyby się zjawił. Nie wiem  
już jakim sposobem, w czas jakiś znówu sobie  
drogę na tych schodach do góry utworzył - niem-  
niej pewnem jest, że do Łaski wrócił, i odtąd  
stał się przy niej pozostał. - Stało się wreszcie:  
że Prasinowski, natrwożony bezwzględnie bat-  
wochwalstwem krytyki, wystąpił w Gazecie Warsz.  
z trzećwiejszym nieco poglądem, oddając rzecz  
pod miarę i wagę. Zrobił to jak mówiono z na-  
prawy Łukasiewskiego - ale petyności o tem nie  
było - a niemniej za pierwszą tego ostatniego  
w Warszawie błądności, Łukasiewicz, nie omiesz-  
kał publicznie a ostro mu to wymówić. Łu-  
kiewicz słuchając się tem obraził, i nie było ni-  
kogo, który nie wziął jego strony, już to też na-  
reszcie próżności tych ludzi doszła była do szczy-  
tu śmieszności D; ale bodaj czy nie głównie w  
tem winno nadmierne dworactwo tych, co nie-  
mal byli ich domownikami. Świątki (jeżeli się  
nie mylę) zrobił był popiersie Deotymy, Ka-  
niewski wymalował ją w zachwycie z twarzą  
pełną jasności nadziemskiej, Simmler im-  
prowizującą w wieńcu laureowym w otocze-  
niu dwóch geniuszów spiskujących na kła-  
nach jej słowa. Do wszystkich tych portre-  
tów powołała w stroju greckim, bo już wen-  
to było w zwyczaj: że do popisów swych wie-  
czorowych występowała w coraz jakimiś in-  
nem przebraniu. Stawała się to coraz po-  
cieszniejsza. Nareszcie doszło do tego: że obie  
z matką przebrały się w stroje pędgrzym-  
skie, i tak chodząc po mieście, nie wzy-  
wając już innego ubrania. Potem zaczęły

1) Do jakiego to stopnia sam Łukasiewicz był ciekaw, na-  
dowód przystaje tylko: że kiedy go jako jednego z niebezpiecznych w roku  
1863 policja przyszła porwać w nocy, ubrał się w mundur stambelański  
i w tym, prosto z domu (bo tak w tym czasie zrobiono wtedy) pojechał  
na wygnanie. Jako zaś rys charakterystyczny do dziejów owej epoki, do-  
dam tu jeszcze, że go naprzód spytano: „gdzie jest jego syn?” - a gdy  
się pokazało, że syna nigdy jako żywo nie miał, - „no to nic nie przes-  
kłada” - rzekł na to officer dowodzący ową wyprawą, - „to w takim razie  
pan sam pójdziesz z nami.” Widocznie bawili się tu omackiem, za-  
puszczając niewiód na chybił trafił, - stąd i niedziwota, że tyle się w nim  
zmalało ryb śniżytek, jak pomieniony Łukasiewicz, jak Reszke, Kuck,  
Węgliński i tylu innych tym podobnych.



robić wycieczki artystyczne, urządzając popisy (jak to między innymi miało miejsce w Paryżu) <sup>1)</sup>; aż nareszcie, skutkiem tych częstych nieobecności w domu, owe słusznie słynne niegdys u nich poniedziałki, powstały, straciwszy znaczenie, z czasem całkiem ustały. ~~2)~~ 2)

Wspomniatem wyżej mój stosunek z Komorowskiemi. Niebawem doszedł on do najserdeczniejszej karyzacji. Później naprzedził się. Ten, tylko co się był rozłączył ze swą żoną. Kobieta była niewątpliwie płocha, bo naprzed, jak już wyżej namieniłem, z Holakiem się bałamucila, następnie z Bachmanem gorszący miała stosunek; ale kiedy się ten powiesił, w czas jakiś ułechciwie za niejakiego Tuncelmana wysła, i odtąd nie już jej nie było do karzucenia. Ktąd wnoszę: że poprostu z Komorowskim nie możebnie miała pożyć. W istocie, przy wszystkich swoich różnych przymiotach, cxtowiek to był najmniej zupełnie stworzony na męża. Artysta do szpiku kości, poeta, marzyciel, charakteru dziwnie wrażliwego, a oraz jak wosk miękkiego - w życiu domowem kapryśnik był niemierny, i tylko wyrozumiałością a spokojem niezachwianym zjednać go sobie było można. Zjednamy zaś, w ogieńby za ciebie wskoczył - bo nie umiał nic robić prócz potowu. Co zaś do Ignacego, to ten, wyznać muszę, od razu, krótkiego, bez najmniejszych zastrzeżeń, przywierał do siebie musiał. Charakteru najzupełniej biernego, dziwnie ułechciowy, namiętnie kochający wszelkie piękno, prostaczek sercem a umysłem aż do nieba wzniosty, robił mi zawsze wrażenie jednego z tych idealnych chłopiątek Bożej sprawy świadomych, jakie tylko Lenartowicz odgadrywać umiał. On też Lenartowicza rozumiał jak drugiego siebie, i kiedy go stracił (właśnie w tym czasie go poznałem), wyglądał nie swój, mocno przybity, i całą duszą dążyć do go było trzeba. Wreszcie, po prawdzie, nie miał on i przyjemnego życia. Stabego zebrał, wątki, karkłacy, ciężko pracować musiał, wieczorami w orkiestrze teatralnej grywając, w dzień lekcye dając, i jeszcze chodząc do Frejera na naukę harmonii - ztąd nęcami tylko mógł dla siebie coś zrobić. Jednak, przy całym tym wysiłku, zarabiał zaledwie do 1200 zł. rocznie, co w połączeniu z 6000 które Józef pobierał (kto się dziś nie uśmiechnie na podobne wynagrodzenie najcelniejszego w owym czasie dramatycznego artysty?) wystarczało zaledwie na jakieś takie ich obu utrzymanie. Ale i to już uważali za względny dobrobyt. Czas długi bowiem bardzo byli biedni. Ojciec ich (dawny polski wojskowy - następnie Murgrabia przy pałacu Łazienkowskim) łatwo pojął, że zaledwie był w stanie w szkole ich utrzymać; a jeszcze by-

1) W jednej z takich, w Paryżu, na samym schyłku r. 1860, a więc niemal o świecie gotujących się wypadków, wypowiedziała Deotyma (Do Młodziej w Batignolles) jedno z najświetniejszych swoich uniesień twórczych, prawdziwie Bindaryenne arcydzieło pełne proroczego jasnowidztwa - niestety! - na tem, zdaniem mojem, zawód swój poetyczny najzupełniej zakończyła. -



ta i córka w domu (ta, kiedym ich poznał,  
 już nie żyła). Biedny ten ojczysto! Znałono  
 mu być wszystkie swoje dzieci przeżyć! W Ła-  
 zienkach zajmował on pawilonik, skryty w kłę-  
 bie. Była tam na piętrze salka z balkonikiem,  
 - tam, ile razy nocowaliśmy - a raczej prze-  
 wędrili nocę całą - bo do Łazienek bywała ulu-  
 biona wycieczka nasza w pogodne wieczory lek-  
 nie po teatrze. Później, kiedy już Ignacy ty-  
 le się miał niedobrze, że zmąskony był Orkie-  
 strę opuścić, bywało, tygodniami całemi tam  
 przebywałem, pocieszając biedaka i wzma-  
 cniając, miał bowiem nie mylnie przeczuć  
 niedalekiej śmierci. A może tylko - jak to  
 rzecz zwykła suchotnikom - rad był, żeby mu  
 przeżyło; bo to tem mocniej utwierdziło je-  
 go własne złudzenia. Stamtąd takie odpro-  
 wadziłem go, kiedy jechał w podróż na postu-  
 nie, ani przewidując, że go już więcej nie uję-  
 ...  
 Ale nie uprzedzając wypadków, wró-  
 cić muszę do dalszego ciągu własnych moich  
 wydarzeń. Od wspomnianego wyżej powro-  
 tu z Wołynia, aż do jesieni r. 1852, prawie nie  
 opuściłem Warszawy. Pracowałem i czysta-  
 tem dęło. Flomaskytem Wilhelma Fella i Na-  
 reszcie z Messyny; ale nie dokonczywszy  
 tych przekładów, w ogień je rzuciłem, i  
 sadzę, że niczego z tego lepszego nie były war-  
 te. Z rzeczy oryginalnych, prócz niektó-  
 rych drobniarów, które weszły później w skład  
 Skrzyni i Kół, napisałem tylko Zdale-  
 ka i Zbliska. Pięć poe i drugą pieśń Ter-  
 mopol. Symptomasem nadciągającej strasliwej  
 Cholery, i kiedy kto w Boga wierzył uciekał  
 od niej z miasta, ja, wzięwszy na upór, zosta-  
 tem i do dziś tego nie żałuję. Wrażenia po-  
 bytu w owym rozle utrwalilem później w po-  
 wiastce O złotych dniach (była drukowana w Ga-  
 lendarzu Ungra za rok 1862). Zdarzenie tam  
 opisane nie jest żadnem zmyśleniem. Wisto-  
 cie zaktad ten zrobił jeden z Cwirciakie-  
 wiczów, jak już wyżej wspomniatem. Na-  
 reszcie, pod koniec już choroby, zmęczony  
 równie fizycznie jak i moralnie, wyjecha-  
 tem do Radomia, gdzie wtedy mieszkał  
 swagier mój, Doktor Wieniawski. Tam,  
 odpocząwszy, kiedym znów do Warszawy  
 wrócił, wypadło mi myśleć o nowem fa-  
 ktem pomieszczeniu. W tym celu, zdatem  
 egzamen na nauczyciela i już gotów by-  
 tem na wsi godnie obowiązki przyjąć, kie-  
 dy w tem przyjacielu, chcąc mnie w Warsa-  
 wie zatrzymać, upatrzyli mi dwie roboty,  
 jak się zdawało dość kuszące. Z tych  
 pierwsza niebawem okazała się być grus-  
 ka na wierzbie. Szło tam o napisanie  
 libretta do Flibustierów Dobrzyńskiego,  
 a raczej, o całkowitą przeróbkę dawnego, któ-  
 re od początku do końca psu na budę się  
 nie zdało. Nie wiem już, kto się tam na  
 nie wysiłał - przypuszczam że chyba sam  
 Dobrzyński, ale widocznie nie dano mu było  
 wyprzedzić Wagnera. Koniec końcem, dorobił  
 tekst do gotowej już muzyki, było istotnie robo-  
 tą, co się rowie - wszakże i to jeszcze mniejsza,



gdyby choć było z kim gadać. Ale juxta, wiedziałem, Dobrzyński przy całym swym znakomitem uodolnieniu, osobliwy był wartygłusz, próżniak i niedbalec. W domu nigdy nie zagrzał śniadania lubił i butelkę, i bywało dwie całe na miesie przebijał, a osobliwie przekpił i przebaraszkował. Z lekceji był, a te jednak miesiącami całymi zaniedbywał, choć mu je opłacać jak nikomu. Stowem, nie mam nawet pojęcia, czy z tym człowiekiem kiedykolwiek poważnie pomówić było można. Tak i w tym razie, nie wiedząc ile czasu mi zmarnował, wiecznie odkładając na jutro, - aż się wreszcie przekonał: że co prawda, już tę rzecz zdawała Wolskiemu powierzyć. Wyjechał go w końcu naku - pomyślałem - i odeszedłem jak zmęty. [2] To druga proponowana mi praca obiecująca być o wiele pewniejsza, a nawet dość syzkowna. Szło tu o nowy całkiem projekt Kancelarii protestanckiego. W tym celu należało mię pastrowi Otto. Ten dał mi charakter tekst niemiecki, i wybrał kilka psalmów do przekładu na próbę. W dni parę kiedy mu odniostem robotę, bardzo był z niej zadowolony, ale oświadczył zarazem, że ostatecznie w tym względzie rozstrzygnięcie należy od Doktora Malcha, ówczesnego prezesa Gminy. Sądziłem, że tu szło już tylko o ustalenie ostatecznych warunków obustronnej umowy, - ale jakież było moje zdumienie, kiedy mi również zdumionej Malch oświadczył: że do tej roboty oddawać się już Wolski zobowiązał, co przecież pastrowi Otto wcale nie było tajne. Otu czego tedy, wiedząc że z tego nic być nie może, na swoją rękę zabrać się ukiadać? nigdy dopić nie potrafiłem; - nie raz jednak w życiu miałem sposobność sprawdzić własnem doświadczeniem: że nie więcej korzysta na zawisł kogo narazie, jak i zawodu komu oszczędzić. Tak więc, ostatecznie, również tu jak i tam Wolski wlać mi

1) Owo utracone libretto, znakomicie już później, po przyjeździe, napisał mi Seweryna Pruszkowa (dziś Duchinińska) - ale kiedy je wydał w druku, zrobił to tak niedbale, tak poplątał z poprzednią robotą, tak osobliwy stworzył z tego bigos, że wstydząc się przyznać tę rzecz za swoją, zmuszona była protestować w Bibliotece Warsz. jako przeciw nadwiciu własnego nawiśka.

2) Co zaś do pastora Otto, to ten, znakomicie później, w nierównie ważniejszej dla mnie okoliczności, jeszcze mniej uczynnym a równie lekkomyślnym się okazał, - z czego wnosię: że albo sukcesja do niego nie miała, albo że nie zupełnie jest tak niepospolitym człowiekiem za jakiego uchodzi. Szło tu o polubowe rozsądzenie sprawy, którą mi oddawałem w ręce, zawierając w tym razie potrójnemu charakterowi jego osoby, to jest: jako obywatela, jako duchownego, i wreszcie jako starszego krewnego strony przeciwniej. Z góry uprzedził mię: że go stawiam w druziłem położeniu, i że z tego powodu zapewne nie dla mnie nie będzie w stanie uczynić. Jakiż, nie tylko nie usiłował sprowadzić, jakiegokolwiek porozumienia, ale nie zgarcił nawet belizowego listu, który do mnie napisał mój przeciwnik - człowiek młody, młogi być moim synem, i rozpoczynający dopiero zawisł życia, kiedy ja już prawie u jego kresu. A jednak, Bóg mi jest świadkiem, że go nie skrywdziłem, i że tylko sam się od krzywdy broniłem. -



w drodze, jednego i drugiego nie zrobił, i wiedziałem że nie zrobił, - wskazywałem nie było innej rady, jak dać za wygraną. Nie kłamałem, słysząc się tedy dłużej, za pośrednictwem Chęgoświca, przyjąłem obowiązki nauczycielskie w domu niejakiego Karzyckiego, w Sandomierskiem, tuż pod samym Opactwem, prawie u podnóża gór Świętokrzyskich. Miałem tam dwóch uczniów, których należało do szkół przysposobić. Miejscowości uroczą, sąsiedztwo prawie idealnych - stąd sposobności obserwowania i najcudowniejszą w świecie przyrodę, wpośród mnóstwa wspomnień prastarych. Pomijając już sąsiedztwo Łysicy i Odwiecznego na niej Opactwa, tuż opodal znajdował się Karwów, gniazdo niegdys kadłubkowe; w innej stronie Tudosów, ze starą czworoboczną strażnicą; ale zwłaszcza Opactw, a w nim wspaniała owa Szkoła i grobowcem Szydłowieckich. Miałem parnietam w życiu przyjemniejszych samotni. To też wyobraźnia bujała tam, jakby w jakimś u Amur uwieszonym hamaku. Tam skończyłem Terno-pile, napisałem Ponad Królestwem i Kamienicą, Wiano Królowy, Hasłubiny Świętej Katarzyny, oraz niemało Świątka i Jolców, a także niektóre Świątki Sylena.

Wtedy też, kiedyś te rzeczy w ręce mając, w r. 1855 do Warszawy wróciłem, natychmiast wziął mnie w obroty Krymowski, będący już wówczas członkiem Redakcyjnej Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych. Wzrost-kiego jednak skończyła się na Wianie Królowy, - reszta bowiem albo mu się nie podobała, albo nie przydała - to zaś co się przydać mogło nie było cenurable. [Radzi cołady, jeżeli dano mi to słownek z Julianem Bartoszewiczem<sup>1)</sup>, którego zdawna już gorąco poznać pragnąłem. Słownek ten był mi oddał nieocenionym skarbem zdrowych wskazówek, dobrej rady, zachęty w pracy. Chłubił się i z exultacją tego człowieka, jakby własną jakąś zastęgą. W istocie, miał on dar osobliwy umieniać każdego, kogo do siebie pociągnął - bo było to i tacy, których trzymał zdaleka. Ci pomawiali go o uprzedzenie - ale on wiedział, co robił. Człowiek przedziwnie czysty, nieugiętego, prawdziwie żelaznego charakteru, niecierpiącym przejednanym przekonaniom, gotów zawsze do walki w imię prawdy - z tego powodu mógł mieć i mieć nieprzyjaciół, ale nie było takich, aby mu odmawiali szacunku, bo ci byliby mieli nie z nim jednym do czynienia. Dla mnie był on zawsze ideałem nigdy i nikim nie straconego pracownika, naukowego ascety, nie bywałego już za dni naszych Benedyktyna, wiecznie głodnego wiedzy jakłady zasoby jej miał i tak już nad miarę wyprzedzającego enteka. Obdarzony wielką bystrością poglądów, stusznie

<sup>1)</sup> Wdaje mi się że on był głównie kierownikiem Kroniki, choć właściwą Redakcyjną stanowił Komitet, złożony ze współwłaścicieli pisma, jakimi byli w ówczas: Feliks Sobański, Konstanty Górski, Leon Hłyszewski, Antoni Ostrowski i Feliks Oginski. -



też sięgał wyjątku, z której się rozległa tylko  
ogłada widnokreśli. - Te słowa kilka, nie xadobnych  
nawet dać choćby przybliżonej miary wpływu  
jaki wywierali, - piszę, - wiedziony jedynie potrze-  
bą serca, - człowieka tego nie kochałem ale cici-  
łem, podobnie jak i wszyscy młodzie, którzyśmy  
mili zniechęcili zbliska czy xdaleka za swego Miś-  
trza go uwazać. Jakiś xjawia się nas wtedy,  
w różnych kraju stronach, wzajemnie o sobie  
nie wiedzących, gawstka jednak dość spora.  
Jabłoniski, Gaskórs, Korotyński, Zacharyasiewicz,  
Włoczyński, Prusinsowski, Wieczorkowski 1)...

Czas te wydają mi się podobne do jakiegoś  
wiosennego xarania. - Było to tylko co po ukoni-  
czeniu Kampanii Krymskiej. Paszkiewicz dogory-  
wał w nielase, Wincenty Krasiński wypręcający go  
czasowo w Kaniadzie Etrajon, marzył o ramiest-  
nictwie, na którym miał nadzieję x narodem się  
porządzać, Turkull, mówiono, czekał tylko xre-  
kności, żeby nowemu panu Statut organiczny  
do wprowadzenia podsunąć. Stowem, kto mógł  
spisnąć dowiedzieć: że nie on był winien odstępstwa  
tylko zelazna wola Mocarny, którego, że już nie  
ma, to Bogu za to dzięki, a narodowi błogie  
nadzieje 2). Jakiś, o nowym panu, jak najsym-  
patyczniejszą krążyły wieści. Przypominano so-  
bie legendy o nim dziwne: - że się kiedyś w Pol-  
ce podobno kochał - że ojciec, xszedłszy go raz na  
czytaniu Czwartego tomu Mickiewicza, za ka-  
kę na odwach go wsadził. Uwazano go za xto-  
wieka bardzo łagodnych obyczajów, skłonnego  
do ustępstw, i tylu przystępnego podstępom  
uczuwa, ile ojciec jego dbał tylko o to: żeby go

1) Syn jedyny xadobionego twórcy Chad Polnych, x powstania historyk  
skutkiem nadmieru pracy wpadł w chorobę piersiową. Wystany na postud-  
nie, umarł na okęcie w drodze do Messyny, w wieku xaledwie lat dwu-  
dziestu kilka. Mniej więcej w tym samym wieku, tylko nieco później  
umarł i Jabłoniski w Kaniadzie, gdzie miał miejsce przy Konsalacie  
Austriackim.

2) Śmierć Cera Mikolaja była istotnie xremis wyrazem, xremis xdiw-  
nie xcekiwanem, i jakoby xgólnie wypragnionem. Pamiętam, kiedy  
nastąpiła, niepojętym sposobem, dnia tego samego (2 Marca 1885), xol-  
nież, jakiś w Opatowie o tem gadał, i że to go przez różną puszciano. W  
trzy dni dopiero potem, nadeszła wiadomość, o której dowiedzieliśmy  
się z tego tylko, że xarax wszystkich do nowej przysięgi powstano. - Nie-  
bawem, w ślad za tym xrogim Mocarnem, poszedł przez odchodnie i całej  
jego systeme nieublagany. Paszkiewicz, wróciwszy z niczem x pod Sylistryę 3)  
gdzie nawet, nigdy nie xnanem poprzednio wydarzeniem, wojsko posłuszeństwa mu  
odmówiło, udręczone upokorzeniem i nielaską carską, wkrótce śmiertelnie się roz-  
niomogło. Narazie już i żyć nie chciał, a jeszcze umrzeć nie mógł, w xem niewąt-  
peliwie mniej okazał odwagi od swego pana, który jak to powszechnie wiadomo,  
nie wahał się w porę skrócić sobie życie. Czy nas jest prawda: że długo skonać nie  
mogąc, kazał xwędzić szukać matki Artura Kaurysa, żeby xdziała z niego wypręco-  
ne niegdys w godzinę śmierci syna przekleństwo - tego nigdy nie badałem bliżej - w  
owym czasie jednak wszyscy w to wierzyli. - Wkrótce pociągali za nim i drudzy, nie  
xdażący, mimo nawet chęci niektamanych (jak Krasiński, Turkull, Jędrski), ku  
schyłkowi życia obkrobać z siebie błoto, w które wleli: jedni przez próżność, dru-  
dzy przez lekkość. Tak to przynajmniej wolała sama w sobie xarodę włas-  
nej pomsty nosi.

3) Jechał tam x nim jako dworak nieodstępny Henryk Przewuski. Te-  
go tedy, na przeprawie w Uściugu spotkawszy wypadkiem Podchorodzeni x  
Krajbienego dawni polski wojskowy: - A to xkąd krakiego Pan Bóg prxwodzi? -  
pyta obcesowo. - Z Sylistryi. - Nie może być. Chyba x pod Sylistryę - xreht stary  
xolnier. Przewuski xclonkował się na to usmiechnąć.



się bano. Niebawem, entuzjazm ten, począł  
w literaturze się ujawniać. Odgryzie nastroić za-  
raz luźniej, ażeby wyśpicować „przyjście Królestwa  
Bożego,” i w ogóle dziwnie się w tym kierun-  
ku odwracało. Album Wileńskie, tak że w kori-  
cie Kłacko, w Wiadomościach Polskich, wycho-  
dzących naomaxas ad hoc w Paryżu, umieszko-  
nym się widział roztukaną tę werwę do nie-  
jakiego opamiętania napędzić. Cośkolwiekbań,  
zaprzeczycie niepodobna, że otulka adawała się  
kardemu wtedy w igłach niemal krajów. Po-  
siewy swobody, opływały się zauskad. Było mi-  
jakbys z kłótkę wydosławszy się wzięcia,  
otwartem wreszcie oddychać począł powietrzem.  
Powietrze to było zaledwie podwójkowe, a w koto  
siebie onuleś języczne dawne kraty i mury - wzglę-  
dnie jednak, piersiom o wiele lepiej było - nieste-  
ty! - nikt nie przewidywał wtedy, że w nieda-  
lekiej przyszłości poidłować przyjdzie Mikota-  
jowski ucisk, który przynajmniej wieściat  
czego chciał, nie tak wcale jak ow nowy, tak  
zwany bien intentionné, usmiechnięty, i pa-  
surami w rękawiczkach pioryskich, mało już na-  
wet dźwiękiem pachnący, - a na to zataczający się  
po pijanemu, w chwilach zaś wytręciwienia  
ratujący się wykrykiwaniem nienawiści stron-  
niczych i rassowych, a wreszcie poburzający  
je i bodaj czy nie ku własnej swojej zgubie.  
~~Ale co tam - na bok i politykę.~~ Jak powiedział  
tem wyżej, majas nie mało rzeczy w ręce,  
nie widziatem jednak możliwości umieszczenia  
ich gdziekolwiek. Do Biblioteki Warszawskiej  
zgłaszać się już nie śmiałem - tem mniej do  
Gazety Warszawskiej, która amonopolizowała  
szy Dyrkomle i żadną inną poezją mieć do  
czytania nie raczyła. W powieści zaś króło-  
wał tam Korzeniowski, Kuczkowski i Chodź-  
ko; ale ponad wszystkiemi górowała Gwiazdka  
Niewiarowskiego, istotnie dziwnie urzędu-  
jąc, dowcipny, blyskotliwy, zaciękawiający jak Jes-  
ze przed tem nie było felieton, i z tego też  
powodu bardzo chętnie czytany - a nawet (co  
się dziś już dziwnem wyda) używany nie-  
jakiej powagi. Tymczasem, Bogiem a prawda,  
był to tylko Muszkietera starodawna, ustroj-  
na w brzońca, blagę - a ta, jak to wiadło-  
mo, w połączeniu z własną z mader weso-  
łym iżwotem, była zawsze nicodzącą wła-  
ściwością Redakcyi Gazety Warszawskiej. Później  
nieco, bractwo to kufłowe (które ma na mi-  
mieniu rozpoznać Dyrkomle) poczęło się nie-  
co rozpręgać - przyjsło nawet do najścia po-  
między Niewiarowskim i Kenigiem, które  
się zakończyło pojedynkiem - ale w owej po-  
rze Niewiarowski był tam niemal samowład-  
cą, i to do tego stopnia, że mu powierzono  
wreszcie dzieło krytyki literackiej. Jak się z tego  
wywnosiwał to już do historii naley. Kresła  
to owym czasie, w ogóle tak mało umiano, że

1.) Mimo to już powziąłem był zamiar pokornie się tam wprosić,  
kiedy wtem na szczęście moje usłyszałem raz u Łuszczyńskich Keniga opo-  
wiadającego: w jaki sposób odpałił z niczem jakiegos młodszego poetę, któ-  
ry przyniósł swoje utwory. - Uważasz panie - (tak mi miał powiedzieć) -  
my drukujemy tylko nazwiska. -



sady podobnego Krytyka mogły sobie spokojnie pewnej wziętości używać. I jeszcze było pół biedy dopóki tylko poezję obrabiał, bo na tej znał się nieco, a raczej miał jej przecucie, będąc szczerym entuzjastą Stowackiego, - ale kiedy za-  
silejony powodzeniem jął się po kolana w na-  
tęce brodzić, przyszedł do tego, że z wielką pro-  
zopojęcią opisując raz chujś grobowiec, wytłu-  
maczył nieświadomym, jako: „piis mani-  
buis” znaczy: „pobożnymi rekoniam” - i na tem  
nieco karku nadkręcił<sup>1)</sup>. W owym czasie jed-  
nak stał on u szczytu swej powagi, i albo  
jak Lewestama prosił kupić go należało,  
albo go spoić co na jedno wychodziło, albo się  
na chybił trafił powierzyć jego kapryśnej fan-  
tazji<sup>2)</sup>. Wybrałem, jak się wyżej rzekło, sta-  
nowisko dać pokój Garcie. Porostawiała mi  
więc tylko Kronika. Tam chętnie chciano druko-  
wać „Zdaleka i Zbliska”; ale znówu cenzura na  
przeszkodzie stała. Z porady tedy Symonowicie-  
go, powierzyłem rękopisem Konstantemu Gór-  
skiemu, i ten zawiózł go do Strakowa.  
Tam Lucjan Siemieniński zuziłkował go nieba-  
wem w wydawanym wsiwczas przez siebie  
Dodatku do Czasu, i to mogło nazwać pier-  
wszym moim pomyslnym wstępem w lite-  
rackie szranki. W istocie powiadstka ta mia-  
ła trochę rozgłosu; wkrótce przetłómaczono  
ją na język niemiecki; ale co najważniejsza,  
zjednała mi serdeczne uznanie Lemartowicza,  
jak o tem poniżej opowiem. Zachęcony tem  
powodzeniem, zawiązaawszy na własną rękę  
listowny z Siemienińskim stosunek, w dalszym  
ciągu zamieściłem w Dodatku: „Lamieniki-  
ka, Termopile, Łasubiny św. Katarzyny, i  
kilka lirycznych drobniutkich, skutkiem czego  
(a głównie z przyczyny „Zdaleka i Zbliska”),  
pobawiłem się miniemaniem, że jest prorokiem  
choć gdzieśkolwiek indziej, gdy mi się nie  
uddało między swemi. **Przestęty!** że złudze-  
nia tego wyleczył mię dopiero w lat kilka-  
naisię, potem pierwszy mój przyjazd do Kra-  
kowa (w r. 1869). Tam, pomnę, kiedy mi  
Estrajcher pocciurę zalecił za konieczność  
odwiedzenia znakomitości miejscowych, prze-  
konać się mogłem, że oprócz Siemienińskiego  
(z Dzijskim poznałem się już był poprzednio

1) Już to łacina od niepamiętnych czasów stała się stałą naszą stroną. Wszakże już później, po śmierci Syrokomli, której z piórem zamieściło wiersz je-  
go „Cupio dissolui” przez omyłkę wydrukowałszy upis. Wszystkie pisma jak  
jedno, nawet uczona Biblioteka Warsz., przedrukowały za złem upis, i nikt  
nie zwrócił na to uwagi. Nawet niedawno jeszcze temu, ktoś (wprawdzie  
w Kurjerze Warszawskim), pisząc o Siwieckich Siemiradzkiego, wytłu-  
maczył napis na ich ramie: „et tenebrae iam (lucem) non comprehen-  
derunt” - „a ciemności jej nie zrozumiały” - to jest zapewne: ciemności  
głowy sprawodawcy - Tacyt.

2) Sami mi raz później powiedzieli w żartach: - Dostałem  
tej temi dniami dwa zbiorki poezji do oceny; dowiedziałem się  
zaś że jednego z nich Autorem jest Kłigie (Giedroń, który wydał swoje poe-  
zje pod pseudonimem Karimiera Snopka), naturalnie Kłigie, sam po  
tym datem, a drugiego zdaje mi się Małkowski; oceniłem je natem.



w Warszawie), jako żywo nikt nigdy o mojem istnieniu nie słyszał. - Pan z Litwy? - pyta-  
no mnie zwykle nie wiedząc od czego zacząć  
rozmowę (w owym czasie dużo Litwinów od-  
wiedzało Kraków). - Nie, jestem z Warszawy-  
odpowiadatem, i to ułatwiało nieco rozmowa-  
nie stosunku. - Co słychać w Warszawie? jak  
mi się Kraków podobał? czy jędę gdzieś dalej?  
i tym podobnie. Dopiero przy rezerwach, na-  
stępnym wpierdy języka, mówiono coś o  
literaturze. - Wjeżdżając następnym raz w Bibli-  
otecę Jagiellońską. - Poznajcie się z sobą dwaj  
poeci - rzekł Łotrzycki. Ten namysłowy rzucił  
mi się na szyję, ale sądzić że to uczynił na chy-  
bił trafił, nie bardzo nawet świadome co robił.  
Poszliśmy stamtąd do Franciszka Trzecińskiego-  
go - przez drogę nie mówił ani słowa, nie wie-  
le też więcej na owej gościnie - poczem poie-  
gnął się i odjechał do Lwowa, i już go więcej  
nie widziałem. Umiejętny, nie dając się już  
namówić na odwiedzenie Pola. Ciemniatego  
po co miałem utrudniać znajomością, do któ-  
rej powód z mej strony mógł mieć już tylko  
pożory reklamy. Na szczęście moje (bo mo-  
głem wiecznie tego poratować), jakoś w tym  
czasie czytano mu poemat mój Pod Kłan-  
kami. Powiedziawszy się że autor jego znajduje  
się w Krakowie, sam zyskał sobie mię poznać,  
i oto jak się nawiązał stosunek, jeden z najser-  
deczniejszych, jak to na swym miejscu opo-  
wiem. - Doprawdy, rzecz dziwna, ale oio tak  
zwany Gordon, od naszej strony jest niby dla  
Galicyi murem Chińskim. Nie mówię już o  
pierwszorzędnych osobistościach, ale my tu u  
siebie o takich Łosińskich, ~~Łosińskich~~, Powida-  
jach, Świeżewiczach, Kłobukowskich, Ławadzkich  
i tylu innych, smiem sądzić na równi stoją-  
cych ze mną, mamy jak najdokładniejsze wie-  
domości - oni zaś o nas nie nie wiedzą, czy  
też odwiedzić nie chcą. To ostatnie nawet, przy-  
najmniej w wielu rzeczach, wydaje mi się  
więcej przypuszczalne. Na dowód przytoczę  
na przykład pierwsze moje poznanie ze sta-  
nistawem Tarnowskim (w Warszawie w r. 1871.)  
Przedstawiono mię jemu jako literata. - A!  
Bardzo mi przyjemnie - powiedział, prosząc  
oraz żeby mu wyraźniej wymieniono nazwis-  
ko - widziałem jednak, że i to go niczego  
nie nauczyło. Dla wyjaśnienia, dodano mi:  
żem jest autorem Syna Gwiazdy, ale i o tem  
słuchał jak o zielonym wilku. Jednak utwór  
ten tylko co wyszedł był zastrzyżoną wzmian-  
ką na Konkursie Krakowskim, którego Tar-  
nowski był jednym z najbardziej wpływowych  
sędziów. Poznaniem później się mię zaliczył  
do motłocha, który robił sobie zadanie wy-  
rzucać sromotnie z przedsięwzięcia swiętych  
zastępców. Jednak z Libowskim żyje aż parę  
brat - a ten, nie mniemam żeby był geniuszem  
godnym zasięgi w przyłutku, w którym na-  
wet dla Łaleskiego, Pola, Żenartowicza i Sy-  
rokomli posyłał wbronione.

Pracując do stosunku mojego z Lucyanem  
Siemickim, nadmienić muszę że ten stał



się niebawem dla mnie jednym z najprzyjajniejszych i wytwornego tego pisarza, którego nie waham się nazwać literackim epikurejczykiem, osobiście poznałem jak się wy-  
 żej nikt, dopiero w r. 1869. Tymczasem zaś porozumie-  
 waliśmy się listownie. Od samego początku dziwnie mię  
 do siebie osmielił. Pomijam już to, że wcale nie zastu-  
 żenie stanął w obronie pierwszych moich prób poetyckich  
 (bo mu to mógł podkrepić kuszający go niekiedy duch sprze-  
 cności); sądził jednak, że w tym względzie moje mu-  
 się obiecujące, wydatą przyszłości młodego zapaleńca, mu-  
 kającego pomysłów do powieści w starej doli prostaczego  
 ludu, a do psenji - w Grecyi, choćby nie tak, jak on  
 sądził, klasycznej. W dalszym ciągu dowiedziawszy  
 się że cierpiący, proponował zabrać mię z sobą na  
 wycieczkę w Tatry, na Spis, na Węgry. Wreszcie udzie-  
 lił mi wiadomości, że się nadobrze zabrał do przekła-  
 du Odysei. Tak to on mię, że tak powiem, ku sobie cią-  
 gnął - w mniemaniu, że się doczeka we mnie god-  
 nego siebie ucznia, że się na tem zawisł - to już  
 moja, a nie jego wina - zresztą, niech już będzie  
 chociaż po połowie. Ostatecznie stosunek z nim nie  
 mało dopomógł do zwrócenia na mnie pilniejszej uw-  
 gi w Warszawie. Jakiż, niebawem, Redakcja Kroniki  
 zaimowała u mnie powieść. Fe, aby miód spokojnie wy-  
 kończył, udałem się na wieś do Krewnych w Lubel-  
 skie. Tam dostał mię smutna wiadomość o zgonie ukocha-  
 nego mego Ignasia. O tem zaraz obszerniej rozpowiemy.  
 Śmierć ta aczkolwiek od dawna przewidywana, niemniej  
 bardzo boleśnie mię dotknęła. Czas jakiś nie mogłem myśli  
 do porządku przywołać - a tu, jak na złość, nalegało o  
 rękopism. Przywiózłem go wreszcie - ale zanim do je-  
 go wydrukowania przyszło - Kronika istnieć przesta-  
 ła. Przy rozrachowaniu się wzajemnem, współtwor-  
 ciele podzieliли pomiędzy siebie niewydane rękopisy,  
 w celu pokrycia sobie niedoborów. Mój dostał się Fe-  
 liksowi Sobańskiemu. Zapłacony był (1000 złp.) - nie  
 miałem skąd zwrócić wziętego honorarium - i tak  
 w zawieszeniu zostało. <sup>1)</sup> W tym czasie, na jednym  
 z poniedziałków u Lurkenewskich, zabrałem znajomość  
 z Aleksandrem Tyszyńskim w sposób dziwnie osobli-  
 wy. Tyszyński, był to mały cienki czarnowłosek chto =  
 wiecsek, o długiej szyi, nieustannie wykręcający gł-  
 wę jak wrona, wiecznie rontargnisny i niewiedzący,  
 co się w koło niego dzieje. Siedział właśnie w tem  
 tak licznem zawse zbraniu jakby był sam w pu-  
 styni.

1). Powieść ta (Nad Morzem), widocznie pod złą przyszła na  
 świat gwiazdą. Nie odnyskałem jej aż w 1865 r., na samo rozpore-  
 cie wychodzenia Blusieru. Nabył ją Glucksborg, i posłał od pierwszego nu-  
 meru. Na niesukcesie, stało się to w mojej niebytności. Redaktorka, Maryja  
 Głnicka, chcąc z niej w mniemaniu swoim utworzyć arcydzieło, nie  
 spytawszy mię nawet o upoważnienie, porobiła w niej zmiany, a na-  
 wet dodatki obszerne nie do uwierzenia (édilion revue corrigée et  
 considérablement augmentée), i wszystko to wyszło pod mojem naz-  
 wiskiem. W lat parę później, Lewestam zabrawszy się do mojej  
 skóry, osobliwie mię za ten utwór zjeżdżał. Wiedział bowiem,  
 że ani dowodów owej przeróbki w ręku nie mam, ani nawet, choć-  
 bym je miał, protestować nie mogę, w obec zamieszkanego me-  
 go na owym dziwotworze nazwiska. —



24



AP 120 b 23

(Ciclon)



AP 150 P



ub. muzeum publ.

Lebiana Christowa podkowicka.

prywatna,  
w stylu nastrojonym.

epigram.

Non pluckaja, adnawiem,  
Czli duchem pojern.  
St. Wygnaniski

One tylko po wreszcie jutroć umia  
Im się wydaje ziemia wielka murna  
St. Prusowski.

Tyśm. witas samo. Las, co od światlistych rozdaj.  
Kramym wietre woi iwieia postasim do  
rozdzaj.  
R. Tetrnajor.

jed. rokiem 1801.



1.

I pierw wam dobrego słowa —  
 Cenniejza jui jak padnie ktore:  
 Riechkiem w dol, czy Riechkiem w gore —  
 Ono to soty z was dochowa.  
 Garscia, czy ja tej pnie pnetak,  
 Czy w pogodzie, czy wiod buny —  
 Moim sark i jui na nie tak —  
 Ono na dwiejabalka wrozy. —

2.

Znamy mi pewnie bys podestowicki,  
 Trapiomy si do swarcia powicki.  
 Zolqden tego podestowicka,  
 Ze wiecznie pust jest, pyncka.  
 A temu tej podestowickowi  
 Purcy si gubiet od chłodnych zimowi.  
 Widny tej tego podestowicka,  
 Jak wstany przed nim dom wiecka.  
 O! ty mieniszony podestowicku!  
 Gdy cie nadludnie werna w pierse,  
 Nad toba martwym podestowickiem  
 Wstajny w esku gubiet dalerien:  
 — Wzdlasztwo thwi w tym podestowicku,  
 Jak wpraszowy Polac w swicku. —

3.

— Gestem sobie mactre jaje,  
 Mjdomie nawet mi si edaje.  
 I wikt na pierokim swiecie,  
 Czas mi pniep, nie nie wstara.  
 Pozwien pnie, jak to wiecie,  
 Ze mnie si wylgla Rwa,

1.



Która ziomu rukując, smieć  
 Zamrąmi gdy rozgarnie,  
 By się nie trudniła masnie,  
 Fortę cesar, go owem ziasnie,  
 Gnaleis, kusi ją nadzieja,  
 Którą miłt jui nie zapneć.  
 Że tych żonytkich pisknych macy  
 Nie byłoby - gdyby nie ja -  
 - Dobne. Tyłko, miło jaje,  
 Kwai: że prawin nam pimbaje.  
 Proszę wstąpić, które pawa  
 Okrę nie względnie prętaje.  
 Czy to jaje smiećo kusa?  
 Czy też kusa smiećo jaje? -

4.

Sójka wybiera się za morze.  
 O tu mas leci, ach! jak leci!  
 Na jednym miejscu dzień jui trzeci  
 Długo, i krata się jak jucie.  
 Ineba się spienę-trudna gada.  
 Coraz jej z ręki coś wypada -  
 Co chwila przegry zapomina.  
 - Ach! mienosilność jej godzina!  
 Toi chyba wypłyć się starci!  
 Lep! pap! co! w jednej, krótkiej chwili?  
 O tu się jeszcze miłt nie drimi?  
 Tym co się drimie mienosilni,  
 Pradąc jej zagłai - jolaimie rojone,  
 Gdy ona zbiera się jak jucie.

5.

Dachówka, gdy się jej przykryło  
 Kwieć dmię ponad strzechą ognia,  
 - 2 -



Gortanowita spoić na ciemię.  
 A tam: na ryjcie trafi piemię,  
 I czy lokane je wylonię?  
 Jest dla niej obojętna rzecz?  
 I wstanie go moja przysięga,  
 Złapiesz, przysięgasz miś ogromnie!  
 Bo zaimię ja go powieksam schwyję,  
 A ty mi się wbita.... i mi po mnie!  
 To widzę, stoła z prostu piersi:  
 - Wiadomości nie wart cześć!  
 To, że ci przyjdzie zbutwieć w grobie,  
 Jest twoje, nie dachówki obrodzić -  
 Bo to nie one niość tu tobie,  
 Tyłko ty sam podnieć pod nogi. -

.6.

Mości Zipsin - mówi teść  
 Wiecej mi strapię.  
 Ty, jak widzę, chęć mnie zysić,  
 Złoty porządek.  
 - Widim teściu - mówi zięć  
 Wiecej mi li pierz:  
 Dwa adwa, to dla mnie jęć -  
 Gdy dla siebie pierz. -  
 J.

Zwiędnięte wspólne przysięgi przysięgi,  
 Zentli się są dwa współbrat.  
 - Co ty znan miś taki gruby? -  
 - A ty: skąd taki rośnięty? -  
 Piesz podać lićne rośnięty,  
 Chęć zalać rośnięty.  
 Ale miś zaden miś niekt prawdy rośnięty.



Aluzai niech byś także:  
 Jeden, od stanyj swojej zony,  
 Adie nie chciał, że mi byś wiedziony —  
 Drugiemu, roine: Alanie, Jukić, Lwie,  
 Chyba jak chciałby nie mieć.  
 8.

Kilk pan w polu, jak i w lesie,  
 Koi w upadku tego chce,  
 I nikt nie może nam — Alie,  
 Alie wilka koi jomienie?  
 Chyba tylko miły brat.  
 Po ród wilej z tego słysie:  
 Ze jut. Kaidy w tej drużynie:  
 Sobie, nie zai drugim, rad.  
 9.

Chciai jenie w baranie skóra,  
 Kosi Wjten, gronac tejie przedai:  
 — Stuchaj Zdzie! Kółki dan? czy nie dan?  
 Ale myśle: ie on nie nie wphera.  
 10.

Chadyj Beniom braci puentody,  
 Kirod sportowych kieniad.  
 Lec. się pilnij, jaidicie pntody!  
 Byj na ziemi nie siadt.  
 Po najteiny nawet chłops,  
 Gdy chce być byś zdrow,  
 Wtedy tylko mowi, chłop  
 Gdy przesadit rów.  
 11.

— Ja się, pierku, prawi chciałem,  
 Jego, com go jutis strasem,  
 Jynis mi zojaze —



At pierzyna, mroem, troc...

- Ten mi zaje nie jest znan -

Wise szed zakark braci ga mam? -

At tak oto, karat jam -

A miast weszach, sam.

-12-

Geili, ai do biatogo sanna,

Wagrunce swana - chci tam nie pociama,

Zieloniec majde w glowie, jak najizwiej

Przetrunka z pasternakiem puka. -

To co si diwid; ie si temu diwid

Wycinkajga z orn ty cebula?

13.

Myl jak pchen i glowa wierc -

Konie, ran jedynie smierci!

Tak jest. Jedon koniec zna:

Lowikielb, i dabi puka,

Mikrob jak i ponce.

At ty wstoy sobie swij,

Ze tu smorny jeden kij

Nic nie ai dze ponce.

14.

Podhopatei swoje zotowie.

Stepan chudzi wyblady.

Wstoy, zstoy si wyblady.

Mowem... - w wyklej ludkiej mowie -

Gersei zduktak sapie zowie.

At tak, wiedz to miły chłopic,

Chy si z tego wstyd i bieda:

Ze kto pod kim dołki przepie,

Tam w nie upada.

-5-



-15-

Chaj, byłem świadkiem, jak swojego syna  
Ukryła stara ošlica;

- Co to za stawa, jego ród zanęga!

Dość śmiertanka tam sama!

Z kopyta świetności owe rozpoczęła

Ten, co poranną grę Pałama,

Grzmotami karcas go rymy.

Imy, słynący męstwem nieśmiesznością,

W Egipcie był z Chrytusem Janem.

Natym, Pan wyjechał do Jeruzolimy.

On, że w nauki sprawach był jedyny,

Robiono z niego mądre pergaminy.

Imy, z powagą mierzem nie zachwiana

Relikwie nois - więc mu się klamano.

Stowem, że nawet był; taki pucie,

który lwia skórę zniwał na swym grzbiecie -

A teraz, powtórz: co? i jak się stało? -

A ten już bękać niestworzone bairnie.

Proszę naukę spoczą

Ależ mu klamano, wtedy myślał właśnie

O myśleniach okólnikach,

Gdzie się to kwitkiem tak wesoło bryka.

Więc matka garcią go za nos, pytam

Łebami - ale o nic mi nie pyta ....

Proszę mu chrapka podługim nchem struszyć,

Stęps z nut ową staruchą;

- Ach ty kłamanie! ach ty bydlę głupie!

Ach ty potowicku beauchy! -

16.

Ukrainie od świętego Jura,

Co z miłkiem rad jest pociągów "bura",

-6-



Cyp ty, Hanno, tak ten migawiec,  
Jest mordwiniec, jest  
Chyba twoja przyk. o wolności wroczyne,  
A najkryjki prosiu się płaczyna.  
Mylili: że ty schwytał Tataryna -  
A to on się garścig za siebie bryzma.  
-17-

Smutny dzisiaj żywot wiode!  
Celowalem. Icha za brody,  
By postawić się buńczucznie,  
Bom rekt sobie: - Na to stać miś,  
Zęsziać dłuż wrystkiel zaciśniesz,  
Tak, jak kłóser zimi swe mienie. -  
I wstawoż pariska zwiastem -  
Dziś wdość nos mam z państwem cesarzem.  
Zastawialem prebrom stół,  
Pewny, że wraicenie sprawisz -  
Dziś się wkoście pchowam gość,  
Pro zastawa jest w zastawie.  
Hej! hej! staw się, chro' brnien w długi!  
Cyp ty gony mi kto drugi?  
Kto ci pykiem pod nos kuny,  
Ty mu kunu w półtora pytkin.  
Mówin, cłwici Shomocniku;  
Zetnastaw znojbyśe druz,  
A grobelka nie zbyt wielka;  
A ja mówię najotwarciej;  
Przen was razem z prektu oserci  
Ciebie: twoje wrystkie Ichi!  
Pro jak trapić rekt Probitcki;  
-18-



" Byłbym wielki cymbał,  
Ciebie się gdybym był."

.18.

Niegraj Wójtku Róży oren,  
Bo wiem, wpaść tam w ambaras,  
Moim przegrać - przegrać moim -  
Co takiego?... powiem zaraz.  
Jedni: mój - portki - ale  
Słowa tego ja nie chwale -  
Jeno powiem ci łagodnie:  
Ze tem przegrać moim - spodnie.

.19.

Właściwie jest to ozyd endy.  
- Mnie nie mił. państwo study.  
Aż i pań się zgraja runy.  
Jonek gubiet ja, ten se runy.  
Wise rzykają: tych prawach,  
Aż jej ozyd esiept w grójcarach.  
Ach! cyli się to gadano  
Dac odprawy tak nie mił.  
Tę, co przecił kwineci edota,  
Choi nie kwona, jest kwicota.  
Ona ci (i z tem jej chwata).  
Aż z zachopeniem tyle jakiem,  
Oż z wyperciem cyjem,  
Ale wstany swoim cyjem,  
Truści tam porubiwata -  
Rtore panstom są przymetion.

.20.

Aż drieri powne dni, gdy jest sam,  
Jadam słownie to co mem:

- 8 -



Poludnie, pieceni i roina,  
Drob, wienyca, a gdy moine  
Prasienka - dojsz słowo  
Ze mi, jako i temu jest zdrowo.  
Ale i to, gdy go w niedzielę  
Zjada, miwi przyjaciół,  
To się chętnie i siemi dziele  
Stawie im go potrawie cieli.

21.

Mam się kadej nparc zacho,  
I się kadej oho dnuce  
Ale kawi się tu w twórcę,  
Gdy brach pusty, wgardle sucha!  
- Redaktore! blagam, pan kate:  
Bym choć mógł i twej brachni jeść.  
Gdy od wierna, iem jest wernianka,  
Biorę tylko grony nieść. -  
- Że ci twoje zwijna praca.  
Ale nam panem nie wybita,  
To, ie wart jest Pac pasac,  
Jaki pasac Paca. -

22.

Z karmu swego go przynępa,  
Jam..., gdzie pieprz rości i męska,  
Lugiliwie Kantowice smyka,  
Wtem się na nowu rozmawia  
Buna, gdy był jmi das Europie  
- Chy! - wota - jak się tu utopię! -  
- Ale kwi się - nece jmu Merkuty -  
Ja się weso diejskiej nam obromie,  
Ripriemę tylko stnei się dnuć -  
Pro, co me wisieć, nie jest omie,



- Ljebie jabłko - tak uparic  
 Sreptar Crast granj Olsienj.  
 - Kiedy mie wien, Alsi Crastie,  
 Idzie to jabłko leij? -  
 Wipe on szylne kuka do niej,  
 Mungajac powieka:  
 - Cyi to jabłko tak daleko  
 Leij od jabłoni? -

Jytko sie schylic. Coi, gdy, Matke Cwa,  
 Wylwornej z seta nie zdijmijac pyty,  
 Swe moinowstare pynedrenia miewa.  
 - Co? co? miasc szylkiem opadator lichy? -  
 Ona najbliwie garci se rzy biare,  
 Ze niej wie imialo jabłko castkiem jowieie.  
 Ugrypsa - Prawnie! - Mo wie.  
 Ljadto je mija to sie niegladnie,  
 Ze sie spina tak jak sye  
 Z ktorego Adam imial sie lydnie.  
 Aoto od tej tej godiny,  
 Tam smy owj Cwy szyn,  
 Zarowno w Lendnie jak i w Lierpie,  
 Smak se zbach dotychas piacunie. -

Nieban nabo, ty warchetow zgrejo,  
 I wy gneane Ugodrowni ~~zgrejo~~ zrene,  
 Ze mi perski wylbie tak latajj,  
 Cti sie i szow tegi ogien pucene.  
 Mo sie edarre chci tak dobrothina,  
 Ze sie est owiek zisko pned zisklania.  
 Pam mi Roinch pswawie obicowwa -  
 Wipe mi ciepto z tego obicarnia. -



.25.

- Do, miemigony si synawne,  
Dach jacyki zagry. -  
Lec gnatan ten chysy rowne,  
Aten idamaradne.  
Strij w synowa outkiem zerkne,  
Cti, z tych facyjjet,  
U tamtego jest pikiertka,  
Ten ma w osku kijek.

.26.

Sredzi polie myn pod miotta.  
- Ży-ży-życie! Ży marchewka! -  
Lec, ze lura jest w niej krewka,  
Kdy ja w grabiecie co uzmietto,  
Wryntaj chciata w chwili onej  
Zejść w bok - i jui... ani ripie -  
Bo tu, kot ja, Vap! w swe szpony.  
Jedy bogut najej stypie  
Stunnie zapiać: hukurjku!  
- Nie chodis smyku po capstryku. -

.27.

- Jutki misjon mój Nochany!  
Kracan ai nad ganem,  
Zatamajce si w piciary,  
Z okiem podbijanem. -  
- Cy chcon wriedniec moja luba;  
W ciem jest mądrosi case!  
Pije luba do Jakuba,  
Jakub do Aliskata. -

.28.

- Boli mis bok; Ranta pluca,  
Zei poniewiercy atecre!



Alaimiej amghé zmie twój poruca  
A ten ję tak odrecie.

- Lej mi nie pishnų jent, ale bydka,  
I hie man bladawe,  
To chodi na kosek znowo pitko,  
A stare idi jod tawp. —

29.

Swiat i chwila kaida inny co si rowie!  
Oto staroicina dobie zasturione  
Spotecine majac na swadie zdrowie,  
Iterali si jmi starostowie,  
A kapucynom „cykut” uczyniono.  
Wise dni, gdy pragnien wybrać drogę prouta,  
To i niej w wybore zyciem jent jedynem;  
Ze tylko moien zostac postarouta,  
Albo tei pokapucynem.

30.

- Achillecie! Cudnie citemy!  
Twoj mi piest pokai prout.  
Pro w zbieraniu zadkich rezy  
Wiewymawne znam gorhone! —  
Panie Bie! dać mi nie raci  
Alie to wpięj przed oczymie!  
Bowiem — patrz — a mój zbieracz  
Ze swój nos si gaticiq trzymie.  
— Coi tak hie two spuchnięte,  
Jaby sto ci dignęto os? —  
- To Achille podniósł piest,  
I tak zię zmie Rejnat w nos. —



31.

No - połdwicz pierśta neu  
Jocłana suchowato.  
Cble się ty indyku pier,  
Nie nie swajajac neto.  
I w truflech twoją istność przyciąj -  
Wiech wóś z przeciachach byka!  
Bo to wyborczy jest obycraj:  
Łekwita z byka za indyka.

32.

Siedzę nad świętą życia strugą,  
Z wędką powabów mego ciasta,  
A której ławek tkwi jak strasa.  
- Ach! Byłby mój wybieć nie długo!  
Hej! Kto tam zechce być moim sąsiadem,  
Bym starą pamięć nie zostawił? -

Długo pierśta nie wstąpię w życie...  
- Gdybyś choi wrowis pierśtom zdrad,  
Lub piwy lea bogaty dźwad!  
Cóż gdy to ludnie mniejsi.  
Przynęty zaden ani chwyć,  
I każdy potie tylko rad. -

- Jakiś. Piśmka Boie w blaskach stonka  
Odlecieć z rąk twych gwie się wisi.  
Cóżku panienko w ślad jej dąsi!  
Jaki moie przenie choi kiedrunka  
Sprawi! z ~~stawi~~ stawin gdrici meśionka -  
Lec tylko... czy to będzie - Algi?



Zwycięzcom nieśmiennego prawa,  
 Kracamy z gwałtownością ydniesi kłopotli.  
 Coim się z Niemców tam uśmieli!  
 Codzien: obiadek, piwo, zabawa,  
 Gdzie ciotek z a ciotek gad wydana,  
 Ach! Jakieżiny zreszli!

Niech się się natchnie z gniazda ziemni!  
 Krępy tu w potęgę ci się postaci.  
 "Pan Strabie" - za to im się ptaci.  
 Stoją we frakach, w dół schyloni.  
 Gdzie tu porytlich nam z kienem.  
 Ach! Jakieżiny bogaci!

W ciele tu, jankowi wro zjadła.  
 - Huj! ty tam Johann, sy Serwaz!  
 Krępytko, na srebrnej mii mi tacz.  
 Dzwany wędzio: z wierzadła.  
 Goliwo! bodajsi poci pnapadzi!  
 Czy my to lada jacz?

Co tam na obiad dan nam błaime?  
 Tric ptactwa - ryby? - jak w Luckedni?  
 Al. morskic. No - to krasa pnedni.  
 Łódzki byle nem nie drzimig.  
 Boimny nauykli i pokiime.  
 Jesteriny tei wybredni!

A jakiej wina nam nie tamie?  
 Witaw je tam wnet z te kwiatois konic.  
 Co! co! try reiskie flanka? proup.  
 Al nas to, widim mój kamic,  
 - 14 -



Takiem się robi just jótka mić.  
O! boimy się smakone.

Ten drowit i aias, tak mi się wydało,  
Gdy, przy nampanie, po przemierze,  
Jiśimę cenne nasie zdrowie.  
— Dowiedę się kiedyś swinocypato:  
Zes kiep! — a myjmy gęba catę  
Nie tyle skąd panowie. —

Troć w mej parafii, zientę wędzić  
Chęć wodny! Bo się przypnam: i mić  
Nie ma co robić. Quatter po gumnie,  
A Simul ma Holke me w asendzie.  
Lec podług mnie — to, jakoi, jakoi bydzie,  
Z sykiem — no — i rumnie.  
-34-

Mówiono wyłate w dannej porze,  
Kiedy po podwórku chłopy mieli  
Bywało po wójnie się bawiali,  
Gdy u jednego pić było tego  
A u drugiego słabe;  
— Ktądż się panin! czyś ty ciemipga —  
Jak jaka baba! —

A dnie w palonie, gdy miżiwawieć  
Dziwnytek wiatych gromada  
A Kongres się feministek bawi,  
Tak im przecie powiada,  
Gdzieś posadono którą  
Ommystowe braki:



21

— Wstydzić się Mamini! Nie będi sura —  
Jakiż mściwy na jaki. —

35.

Jeżeli sobie rodem z Wneini,  
Więc na ryś bierz,  
Ami pójnij, ami wceńnij,  
Ale w samą porę.  
Bo to przecie wiek dwudziesty,  
I teci wyl pójpi swój wneć wstadeć —  
Więc się dui przyackie Chneć  
Chyba już na budy zładac.  
Wental, bęcnie w kufel, strany;  
Że potrafi zycie miś w hany.  
Wiedzie siemce ukołane

Jeżeliście piękni,  
Że mi kwi się w gardle stanę,  
Aki się wiś udtawi. —  
Crawit Bismark w mądrej mowie,  
Gdy Francuzom a fajki dymy  
Pod nos pumnat: — My Niemcowie,  
Tylko Boga się boimy. —  
Więc przegrymy, tego samej,  
Ody, chcecie pomścić przegrany swoją,  
Wtanie w Boga Tym ufaamy  
Ktorego się Wiemy boją. —

36.

O! jak mi przykro Marku miś,  
W którym przymianach proła znam,  
Że, po namyśle, wyrost z mości  
Zanadto — dokąd? nie wiem sam!  
I od wrót Raju odeznany,



Nie można trafić między ciast,  
 Owsem, w każdej ciemnej sieni  
 Rozkrawian sobie nos zadart.  
 Tyś choć pomyśleć mógłś miłość,  
 Gdyś twoje włosy zebrał grom:  
 Byś się tam na tutejszym dworze  
 Zamocował komu polecono.  
 Gadłeś, piłeś mój kolego,  
 Iż tak nie wymusił ci kart,  
 I byłeś ciotkiem do niego,  
 A teraz jesteś lichy ciast.  
 37.

- Nie, że nie powiecie do teatru więcej  
 Ale wam z sobą mojej ciałki.  
 Alimpe, długiś tyle mi miłości  
 Pragnij nad mię w ciepłoci <sup>radziej</sup> ~~radziej~~  
 Ona tu - była pomył głębi jak -  
 Była mistyczny zachwyt nad okłamaną  
 Lubieżnych denców - takie pięta raki,  
 Że, słowo daję, żądaj mi było za mi.  
 Wipe, na kongresie, który dzisiaj przenie  
 Prerokę jego świata gdy zwtanie,  
 Ja, wniosek stawiam: ie mi ciar miernotomio  
 Porządku nanych datok wychowanie. -  
 38.

Dawnemi prasy (któci dziś pojąć zdają)  
 By Lenart wart był ciastu swej, a Marta  
 Lenarta mogła być warta,  
 Panna była miała bydną od ciemności,  
 A ciar mi odzieni, dobre, jeśli igoła  
 Wyglądał głębi od ciast.



Kieruję wstępną z inżynierką.  
 Co prawda, to jakai niepodziękuję,  
 Złota się na mojej drodze.  
 Tu staję, tam brama, ściana, drzewo,  
 Ja im staram się na bok schodzić —  
 Ale nie pomaga. W prawo, w lewo,  
 Odpycham garściami iłoz;  
 Złota, drzewo, brama, ściana.  
 He! Ja im na stoją w domu staję —  
 Ależ przecież proga przepiera mój.  
 No — jestem już w pień. Złota  
 Wychodzi do mnie zapierona.  
 Jutro mi wstępną — Proszę ma na niej! —  
 — Złota? co? O! moja, pani!  
 Coi to ty myślisz? Do inżynierki:  
 Ostygi, sileci, portery, nklanka,  
 Komary, trufle, pora za granicę,  
 Tyś znowu przecież nie mniej za nią!  
 I samą takie jest nie tani!  
 Brud? co? od czegoś wględy, myje?  
 Proszę przecież rękę rękę myje. —  
 Mam przyjaciela od butelki.  
 Mówię mi: — My! — On, z chęcią wielkiej,  
 Ine aż do samej brzozy nieśledwie,  
 A brud się jakoi ani zmniejsza!  
 — Do dyabła! Proszę te nieśledwie  
 Jedną od drugiej brudniejsza.

Odam sobie głębię jak matkowie,  
 I w niej samemu nie lada.



Atci dowcipu może taki,  
Że, gdy wyglądam bliźnich braki,  
To nikt mnie potem nie przegada.  
Leci, choć mam tak wydatne przedy,  
Żto nie chce sobą znisz zautania -  
Skąd nie wiem: czemu pokazać przedy  
Bez maleńkiego wznania? -  
- Ja ci powiem - orec to bowiem  
Wrytkim znana:  
Jestci tylko marna igilka  
W fune piana. -

41.

Coś to pu miennie jednę pić karkłedy,  
I jiwieć jełnis roinył suchów trudy,  
Bym z czerwonego mógł się zrobić blady,  
I bym z grubego być chudy.  
At ten mi się sąsiad poddane  
Cienki jest ci do zaradności,  
No - siedem, styn, dni w tygodniu prici,  
Dam mu co i laski - boć to precis nana  
Iowimwieć wypierać - choć to mały trudne!  
Atar, sign dobry jełnis, mam nadzieję:  
Że, kiedy on porubieję,  
To ja tymczasem wychudnę,  
Ciem się wyrówna nana wyrówna dola  
Gdy między sobą są wymienniem.  
Ktem - styn - umart! - O! za pozwoleniem!  
Żeby zaś chudy zaraz umart! - Hola!  
To ja jni moję dychawicę wosk,  
At ten jak kłosa bruch, i pot na ciele,  
Żto, ziem wagi tej co hippotam.



Oto - pro - opartym wiepnie swięci męrowa  
 Nienajedroni głupcy - ale - co tam!

O pinnierci mępieci nie jest nawet zdrowo.

Chybaż iotwia po mię postać, który,  
 W swym rytkim pędzie,  
 Sto lat iść będzie.

A jencie lepiej gdić z podwodnej dliny  
 Roka w kornpie, który, w tej odziei,  
 Zuprajem swoim postępując tyłem,  
 Z puchotwem owem zwale nie byłt miśom  
 A pnieiną strona jebicij -  
 H.

Sint na pnniesieniu siade,

Tragaja temi słowy

Kongres międyludnościowy:

- Oto mępył Rad Nadrada!

Dzieci rodnie nie jest warto -

Proto murna cnam strata.

Mówią z głębi wisi otwartą:

- Gdzie Mammusia? nie wie tata? -

- U Klesego przed wytarwą,

Lub na radnie Fernitck. -

A ten tatui, wielki chłystek,

W winta gra, i nie dość zwanwo

Wracc w dom, jak wypęzi owi

Rubowiere. - Wips tu prawo

Takie oddał się stanowi;

Swom miel podkowierowi

Kaida powie: „Gam tu - nie ty!”

Pro tak mnei chęć Nadkobiety. -

Wips Lencida, na ten siwipie,

Wielbige wrogie pnedsiwzipte,



Jest klaskie jej zawisnąć.

Ale kto winta tej Zenejdnie:

- Gora i gora, się nie cejdnie -

Poznas, guet kto runy która?

Chyby wystbie jedna gora!

"Cobyś robin: to, czy nie to,

Chciej być zawnie Nadkobieta.

Chyż ci jedna być wypadło -

To i luboicig patrz wiewieciadło.

Chyż ci bydke - nie poraj lutra."

Jak nana Zaratustra.

49.

O! jakie świat jest zamysłony!

I nie słoneczny słoń, lecz słoń!

Ednie przynajmniej, z kaidy tylko strony:

Mydlaństwo, mydło i mydliny.

Zabrochiel wysznie dute - i co tu

I bankrutem temi jest krapot!

Chyżbyście jednak, pishne panie,

Zanadnie chciały Wielkie pranie,

Toi zabrocy, choć ze straty,

Możeby wam się zdali ja to:

By cyta mogła być honula,

W której się nagi cisek obtula;

Chyż, z drugiej strony, kaidy przynajmniej,

Kto docię cywilnej ma odwagi:

Ze chyba tylko Nadbielina,

Ostoni bawtyd dany nagiej.

44.

Wygraszi - cienną się niebois.

Chyż jest twa konyć tyle warta,



Co rosa praca w stwiliu Carta.  
Pro nawet swinia na ugole  
Partucha swego ograć musie-  
Byle, jej postawiła karta.

45.

Byłam powaina i snadzi gładka,  
Bo wielbić się jej tłumnie  
Swili, jak pleny w gumnie.  
- Wybić jak pszen - tak rektu matka -  
Lepsie ci mnie pójść jak ptatka,  
Tylko - twój porag mnie u mnie.

Wybrałam. Niebo jawn za swiadki.  
Lem nie jest kardio psotka.  
I mój miś miły psotka.  
Lec w domu starym bywa z radka,  
I wisi mi gniew: ie ta matka  
Nie matka, lec maszka.

Ati rai narencie, stroje fochy,  
Gdziei pomysł zwiniał, jak strata.  
At ja, osamotniata,  
Nie utrzymam ani trochy,  
Mam porag u tej, co z macochy  
Znow mi się matka stała.

46.

Japoński dzielny Herkulesie!  
Choi to ci sławy nie umniejsz,  
Zwier, co się nie wzmą gniewie niecie,  
Od ciebie zda mi się przyniesz.  
Lec może Choi twój smak pochwalę?  
Kije wskaz mi prync twa Omfale?  
At, to co w awierciadocho patny?  
No - w nkle powierzchni trudno gładnej -



Jednak się ona gnasnąć wyetnie,  
Maję powtórzyć ty Omfale.  
O to dla Ciebie, w grórnym nale,  
On ma, nie wstany łeb swój, ale  
Łeb cudzy, ie mnie brydki, setnie?!  
A ja w Europie gnam co przodziej,  
Japoński, po japońsku pistane.  
Choi, wiewiwy w park, przed nami błyskny-  
Po pierniej, przydłan dość przytędry,  
Wiem: że się nie zakocham w żadnej. —

47.

Żywy narodo: Niemiankare!  
"Kawę wraie jak pan karie."  
"Zekto upadł — wielkie deary!  
Raidy i mił megwaśt mi shrecy..  
Oto, w klubie m dżiwizary,  
(Choi wytgarnie od piligawek  
Mam bobrowy zarzkanek),  
Jak się nie mie jednej zdary;  
Jadłan, zennar — Lec co to — jeśli  
Bardzo przeto, nie podmieli,  
Jenów, stoję prosto. Zonia,  
Zetam spocła sobie z konie,  
Wart ci łębie? Wnau jwidniano  
Tyłko jedno się kolo no,  
I miłt nawet nie wie: kłote?  
Albo Maria, ie, z kot owca,  
Imi py pieru od smotowca,  
Upadł i w doś rożami zgórs... —  
O Wnech mądry Waspanowie!  
Wzrost wienę nie racycie:  
Lec w rąpkach prduć życie,



Leć z zastanowieniem i zgłębienie,  
Można pytać co się dzieje —  
Byłoby tylko przetrwać. —

48.

Ach! niech i dramię się wronę i tył ochłonię!  
Wien Mańka — mój mój wyjątki urodzone  
Zbrodniarki — daję słowo — niech kto przeży!

Gdy, w Łotem Kusię, ten nam wzmianke  
Podręcz oddano — to ci mówię, cała przeży

Tak się trzęsie — a ja tak płasko,  
Ci strach się w plecach kłutym nie dostaje.  
Żal mi jedynie było przypomnień.

Nie całem brudne — choć mi dwakroć pranie.

Ale u jednej urwał się kurioz,

Aż mi nas, Ineta wiedzieć, w całym domu  
Podobnej rzeczy nie ma przypieć komu.

Co mówisz na to? Takie zbrodniarki.

To nie do iży, talii albo garnka,

Leć aby wiedzieć, która świat oświeci,

Teraz — i sobie iży, nie rodzą dzieci.

A co cię interesuje wari? gdy przegadnie,

Nie z urodzenia, uprawiają zbrodnie?

Bo się tu gada Inżynierski ze zwręgi.

Że to tył pracować jest wogóle ciemno.

Wiem nie nie wiemien temu, że się stara.

Aby mi jeszcze jakark dawano kara.

Aj! Zapomniałam, że mam nieustannie

Brudne na jutro załgety zadanie.

Przy ci, mój droga, dam ci za to

Chocet dla lalki podkładany watek,

Tylko to dla mnie zrob — a ja, doświadczenie

Nie wiem przepię. Bo mi tak wypadać,



Ze ta brodniańskaurodzona Madam  
Trójki mi niedaje Fizjologii nie da!  
Co? Ty słówek jen? Cja powiadam:  
Ze od słówek jest znaczeniowa krede.

49.

- Wien ty? To bekwista Maria.  
Pitorej znany do jądania:  
Wegle, brydki słówek,  
Zaco, od tej tam jejności,  
Miałam jui na osobności  
Bardzo dno stodkuch słówek -  
Ja, co tykać się powala -  
Wien ty co to jest za lala?  
Kieraj, na szlignawce, oto  
Jatny, - mójka ma jak stoto.  
Wipe powiadam do tej ryby:  
- Lypus Maria miał sturnie,  
Toja, poprawiając miły,  
Miałus te mójumis. -  
Ata, głyria: anhuwata,  
W gda, w ogrodzie, w jasny ranek,  
Wobec kilku kolejanek,  
Wien co ja to powiedziała?  
- Jatrzie. Ten młamek draga  
Chce być między memi stungi.  
Janyrosen się zacigga,  
W Totka gra i kłnie - a przedi  
W trzeciej klasie rok jui drugi. -  
A ja neto w odpowiedzi  
Tak jej wyppelitem nparoko:  
- Lemu dwa lata w trzeciej klasie,  
Bo tak chce - a Tobie zasig



Urodzone by brodziatko!  
 Dobne gniewi, Pnacyo ro Pnucie!  
 Zecie mater mych cõsumie  
 Aellauonius dopowiada:  
 Ze was tylko Alosia i edrada...  
 Odtąd pnciam w trodę grmizę,  
 Lalki te co mydlen bręca,  
 Opnemonę do pnciatok  
 Inyngel pncipatu mych nadniesz,  
 Jak to wtencie nie potatok  
 Doiwidzeniem ceter mędnego.

## 50.

Słuchajcie bracia Rednirę!  
 Głe się na jiwicie janyu dnęjo!  
 Nie chęj się chwalić - leci, zẽm pncery,  
 To pytam: Pncm tei jant dano  
 W potylinowe jnię orderę  
 Jak ja pieri palkiem obrypanę?  
 Jcõ? - tataru gromkag ~~chwate~~ chwate  
 Dni jnu na budę jni się dala!  
 Jan - pomnę - dycham pncacowany -  
 W bruchu jni buterę - ję! do kãta!  
 A tu, janc nato, jopner jciary  
 Woi kolucyki jni dala.  
 Pncpnciem pncmie: - Wsystkie pncę! -  
 I pncęj nawet Pncie pncę.  
 A ja, na piele, tak iasliwie  
 Gmizę, zẽ ai pnc się sobie dnęj.  
 Leagdy, jak pnciar widnidićcie,  
 Holubie wicngnag chciat pncęjcie,  
 A tem zmagła nęc się pncę tanc.



Zem wlewa, Pieneń mego frana  
 Wpakował sobie pręta, naga.  
 Tachem. Porbuj zostac - nie mogę.  
 Samy w kuz - Klancza mi panowie.  
 A diabli wnieśli przygotować,  
 Ktore mi prosto do szpitala  
 A tych nos kłócających miejcie z dale.  
 Gdy tam drudzy biegna sparcho,  
 Dac miym zotgdkom ucitowanie -  
 Badi z dron komatce, i ty staro!  
 A ty samino, i sampanie!  
 Tote, cicer dui proimno zotka:  
 Chadby mi mogła przyjac zyjaska?  
 I, co bratierwie zjawet sami  
 Wpniot mi nie imiali stawac'is drogie -  
 Dui ja, z wyptkierni orderami,  
 Lada marniactem z drogi schodis. -

51.

Przyjmu z licem zotko = bladem!  
 Dochrognict jestei ty pradiadem.  
 Ty, wrecimie jni, od zony drogiej,  
 A gory ci enane, proin rogi.  
 A gdy ci z tego konyic'is nerce,  
 Podobny do jutowy sera.  
 A wrencie, z podentem laty,  
 Pucowatys i pphaty.  
 A chci w mniejnemim pshicym cysie,  
 Chwalenys na grobowej ptycie.  
 A pshawie nigdy zikt nie powie,  
 Ze to o tobie jest przygotwie:  
 "Wakim si zmiele - natym skrupi."  
 Pro sam widniaiem zreci takowa,



35  
Że, gdy się rodził Głowę głupi,  
Tys' brwał, nie całkiem głowa. —

52.

Das mi przyniesiesz, zdaje mi się wiersz,  
Do odmierzenia lichej pipietki rubli,  
Lecz wnet mi w karty klubowicie skubli,  
Renta i cię renta w Totalizatorze.  
Do Ameryki nie mam zrywać za co,  
A do Kanteru nie mam wracać po co.  
Wiesz, gardzę sobą, ty banalna praco!  
Która się w kasach smutkowej wra,  
I potem wlotem filisterstwa guchna. —  
Ma słynność Berent, twierdząc, że to „prochno”.  
Choć toż myślisz, że widać nat, jak widzę.  
Pom to mi mówił Mami, czy Gadwidie,  
Czy z krakowskiego Kłopotam przedmiciścia.  
Nie. Ż mił mi karda ma po lat dwadzieścia.  
Jestem to mił mił onej najdroższej Mami,  
Ktorej z pod poca pod wygarnianiem zrytko,  
Choć jeszcze kura jest pogimnaziatka.  
— Niech się nam odtąd świeci Szehir Mouni!  
Ż mił mił iatnoć Wadusowicera dawie:  
Co jest „muthowie”, a co „Tworne Ldrowie”.  
Zatem, prynciwny z trąbki znojne trudy,  
Wład Budda, z owej sydiadniej kudy,  
Która swa wiedza wiec świat narwany —  
Zarwany Procie, wstrocym do Wirwany. —

53.

Od dnia Potopu świat się generabie.  
Głód, bwa miera, że w gwałcie zmieroty,  
Pracjów swych pnieki generoty.



Chora jest tylko: żyd: iśi bracia:

- To co ci noc brat do karcia  
Gwini i osy? -

54.

Ja to podneptę więcej miśi i owienor,  
Gdy, i otędkawe zachemia,  
Cieśer abt notnime pucenia,  
Mówię: - Żem tyle, ile w siebie emienor. -  
Że miedojedzenia żukit nie pınast jencie,  
A tylko z godu, albo z pnejedzenia. -

55.

Że diśi kaina kto chce pueklina,  
I na cieśi tego barmity  
K piekle pątkliwne brania z gąptę,  
Prochany oblu! twoja to winę.  
Pro gąptę ty byś zabiś kaina.  
Nie byś ty puceni zabiś. -

56.

Że ciśi masę, p gromie liwiny i towaryny,  
Największy nawet pınyst osiećmiele.  
Star: z dniego puciny pucis Popicla.  
Toi on w pınietelnym potack ledwie dny,  
Gnębiony będąc: nie od jednej myny,  
Ale od wielu. -

57.

Kilku, mityknotne!  
I nie pucis twoj pucis.  
Gdy: was kuciny i kucis  
Dnie puciny i pucis,  
Że, co ty mi otre,  
A pucis ma pucis.

Ja ci zły w pucis,



Z pitną zjad okomą.  
Wipe si badi wiadomo:  
Tei chci wypadzi zwietyse,  
Nierai w. ostecie spse,  
Lynus lupo-romo! —  
58.

Zajrzyjmy tei w ty stara kuchnię,  
Gdzie, niegdzi, w sprzob miedylt pyrtki,  
W inni przedwiecznej gospodarki,  
Która jui zdala plećnię suchnie,  
A kuchen, w pajercy matniach, w próchnie,  
Inżyniero znalowane garnki

Zachowane w barwie sinej,  
Jak ledwie oko zcierpi syje,  
Z wasię co w nas spłakana bije,  
W nich, tober celni przeryny,  
Chowali stary swe mydliny,  
Godne jedynie iść w pamięć.

Gdybyście, z priród nich, seich  
Ja mienioic potencie Rark jui koci,  
Chocby paktowaniem thimisei,  
Jednego sobie wzięcie nie chcieli, —  
Nim wrzyskie, ze ciarów tył topieli,  
Qui lada piewtej nieparmisi?

Mo. Chci jednego. Coi? — nie chcecie!  
Wprawdzie nam brzyję nich, nie żyje,  
Ale mi kaidy chstnie przynia:  
Ze nawet, jako radkoic, meci  
A roblinowici gabinecie,  
Unśaly ta starowieczyna.



Alie? Do wije przed Magdaleną Modą:  
Ze przygramotnienie je o pisanie,  
Czy niemi od was jesteb dostanie—  
Czmi mi ujmę to nie doda,  
Ni męgo kęs nie będzie pioda—  
Do wnak są tylko-malowane.

59.

Czyżnan ty kraj ten, przedy wstykacki Long,  
Wzór snaskajęcy ikręcy się i prozyl?  
Chcie tylko gnurowa petersburgska chwastp.  
Cielaki morskie; miedziwiecnie biase?  
Czyżnan ten kraj? — Cich! tam, o moja miśa!  
Tambym ja zmarzę — choćby ty ze mną była.

Czyżnan ty kraj ten? — Tamto, Cynownikę,  
Jak nigdzie, taki gorzki pech spotyka:  
Ze mi on zrobi donos, miści skradnie  
Lapiewski chwyci, lub, co gdzie ukradnie.  
Czyżnan ten kraj? — Cich! tam, o moja miśa!  
Tambym ja zmarzę — choćby ty przy mnie była.

Kraj, co go władza nie chce znać Cerkiewna!  
Protam, od rubla drożny kawał drewna.  
Tam, piteka, co ma mój, bogactwem zowie,  
Tam, pierjant kromięm, a plankę krowa.  
Czyżnan ten kraj? — Cich! tam, o moja miśa!  
Tambym ja zmarzę — choćby ty przy mnie była.

Czyżnan ty kraj ten? Chleba on mi daje.  
Kier się w nim Carkie bygną gromotaję,  
Dla dworu sobot bobrem oprawiony,  
A iai dla Frejlin miśkie ostredony.



42  
Byłan ten kraj! Ach! tam, o moja Młoda!  
Tambyn ja zmeret - choćby ty przy mnie była.

Leci mi. Tam, poto, porytetnej swej ciutudnie.  
Caskowitego pierska, ile jółludnie:

Oy, nie on, od piers, leci od niego oni  
Słipren! - Wipe namet, w harnej tej nutroni,  
Wtyle z mrochach wiecznych, w tam oprowadzonym zisurmo,  
Przy ciernistki miasłym - byleci była przy mnie. —  
O.

O! ty miedarne brevis vsta!  
Dozwyning kark ydy ciar ci piersi,  
To wtedy kielie pajaw ripiej  
W swe piony zapomnienie chwytła,  
Tak, że jak zmiłakien znowu porbyła,  
Oncpadan w piersiej Wipamipci.

Jakie to pierwiej piersi nie zetrze  
Człowieci, co piersie kras longa!  
Ja bowiem wzorem diwolağa  
Ponieważonego z termametre, —  
O piersi, jakiego chce powietrze: —  
To piersi z piersi Ruty, to rozciągga.

Chci ja kiedy pchnę do sera  
Zobojstniałym pradem thompi,  
Ona, znać, nie chce Wipamipci,  
Ru Wipamipci kłopoty, słońcem zabiera —  
Zmniejsza piersi piersi twory Era,  
Która jej piersi z piersi, jiwipci. —



Ol.

— Któtam? — Ja! — Stęps. Ctle, Któtotaki? —

— Mędrość. — Ach! Andrzeu jón z olejem flaki!

Oprzekornego jest świącie,  
Spokojność najęce w dźwięcznym wotwie:  
Że soba nam wartości doda!

Nie, moja ścisłość. Żył jest jeszcze samo.

Młotymiarom pojednie kędy dalej,

Gdzie jest ci więcej porządku...

Młyny cie nie zaprasali.

— Któtam? — Swój! — Ctle: jaki swój? — No. Szoda! —

— Ach! to dopiero! Cóż tam znów do Ciasta!

Czy to tużajad? Katarina? lub gospoda,

Lada przygodnym otwartą?

Żeby ci ciekaw Któr jui jón najtarniej

Przechodził zatrzymać sięcie —

Od tego jęzka przysięgę wgardle ziemny!

Nie. To me do nas. Któr jui jón Katarina.

Młotu, potrudach, w błogiej smu przytani,

Nigdy dość niewyższewani,

Wła ota my sobie śpiemy

I jest nam z tem przyjemniecie. —

— A! Nie — mój panie. Jak znów ile mi będzie.

Właściwym spotkasz Mędrość na mojej drodze,

Którąś, wielce peten gnerm smili!

Ładnui, na której gziaty, wyprawli.

Któr ja, pożytek najęce jón, na wglądnie

Młotim przemysłem, na wypadach gwetki,

A mójśen tej wlotstnej nam nawysielki,

Różnym nępc waz przychodzą.



.62.

Ktobydi gośbki pnaane do nas piere,  
 Wyrozumiemie prymier z mci potowice,  
 Le tneba: izby, z mdo te pperady,  
 Siempricione phryt: satrymady,  
 Kaktorych, one, w ranc zaisdomis,  
 Gdzich kuterm thliwa proiba stani,  
 Gra nam straty, i dobrej chci, wionq  
 Wprout 2 rana, w nana gby radniawianq. —

.63.

Mówicie: — Duma, to puchetna pita  
 Popędzi twórcy, jebity to byta  
 Godności wstanej z miodrodnie, strq.  
 A pnieci taktio prawo sobie rości  
 Do maciegnostwa jankieba di godności  
 Septentrionowyk edpisiu Duma, ktora  
 N wiernopoddaniar strojga się zachwyty,  
 Z tego jest dumna, i i wip wydumata:  
 „By równie kora mogła nie być cała —  
 Jakiż wilk nie znoży być żyty.”

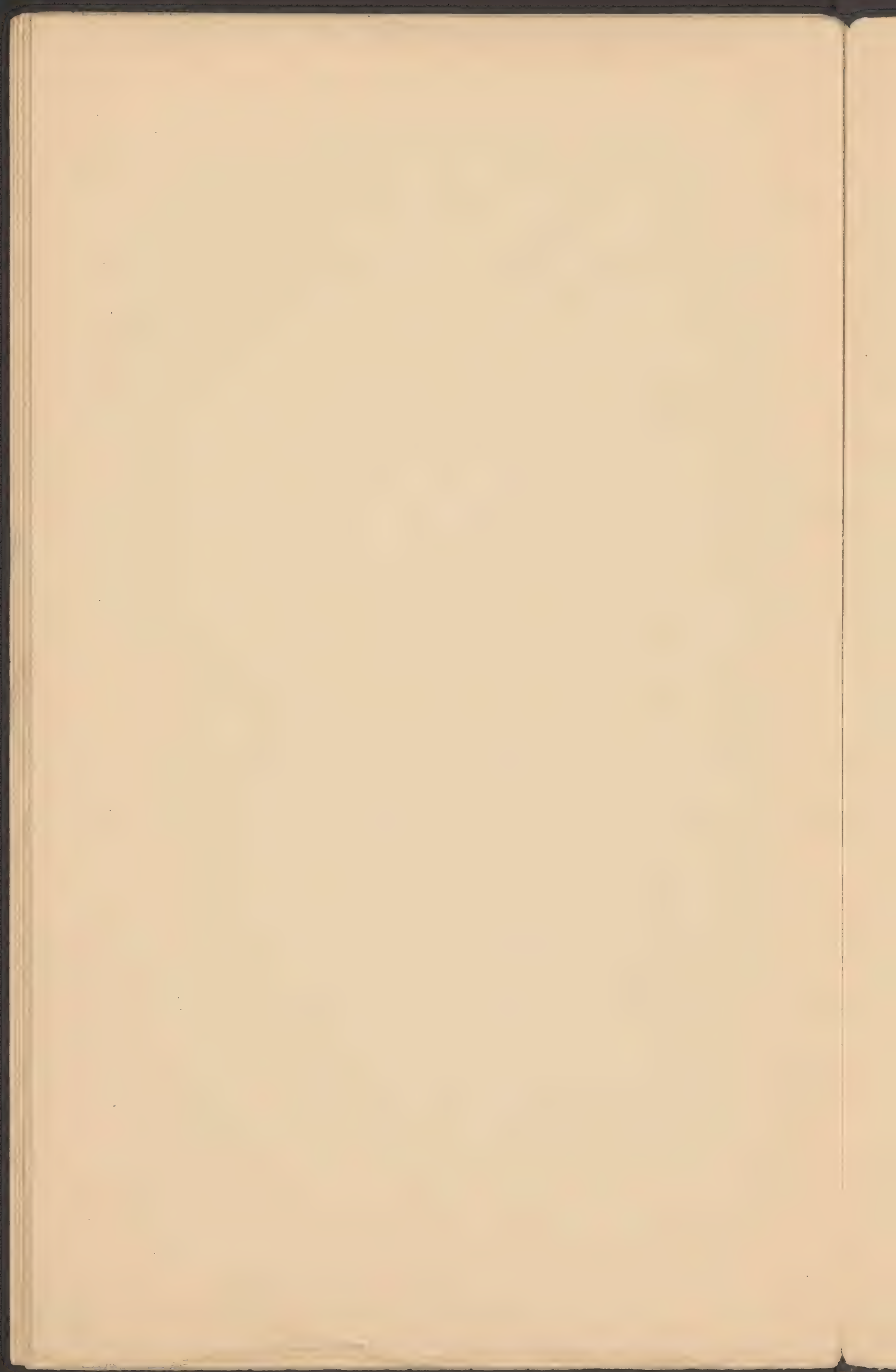








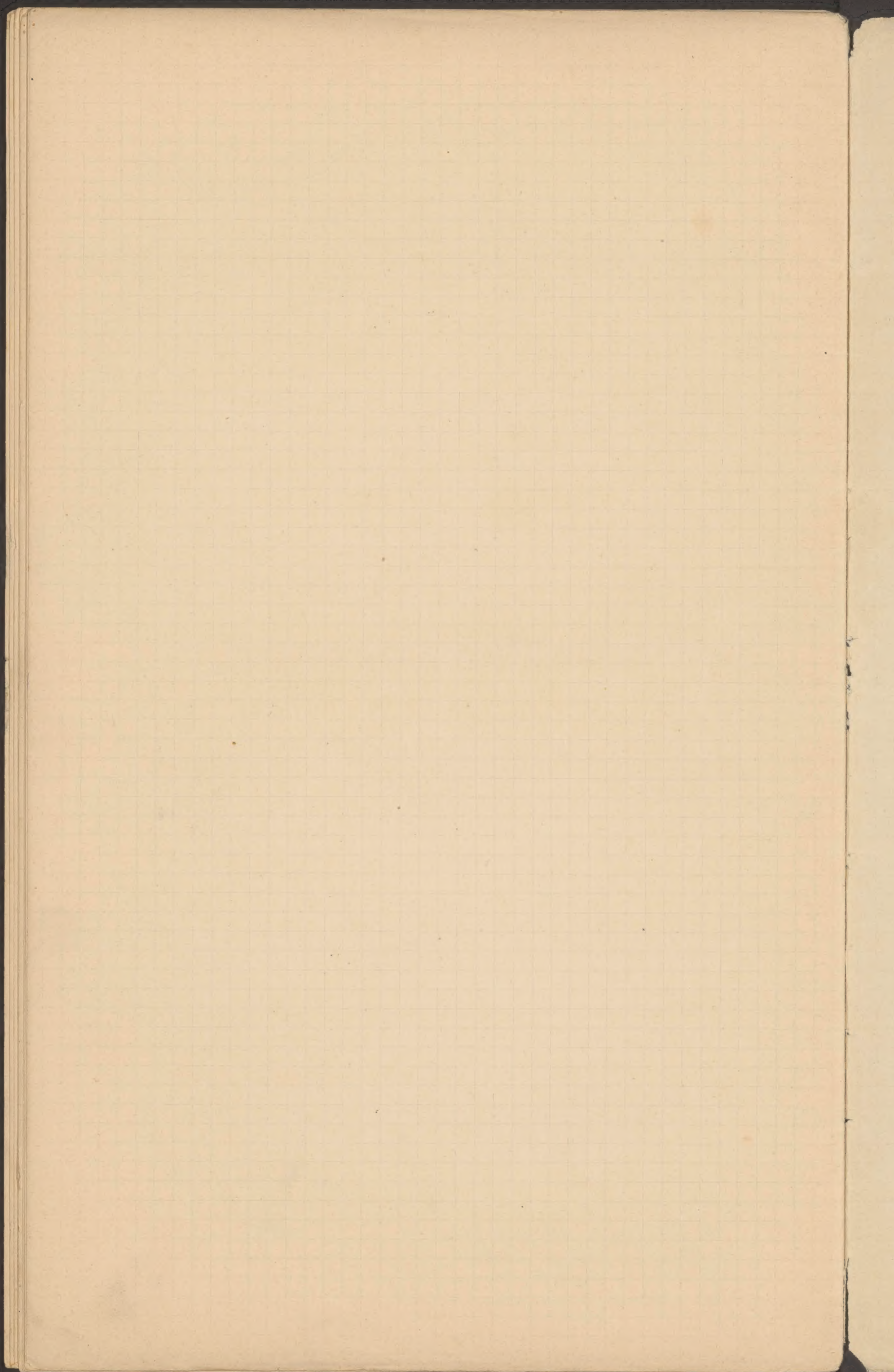


















44

3430

~~1020~~



